MAJ 1932

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

TOM XXI

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27-61

Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, ul. Szpitalna 1, tel. 649-04.

T R E Ś Ć:

ODPOWIEDŹ KRYTYCE.

W szeregu ostatnich miesięcy słyszeliśmy raz poraz z grona naszych czytelników wątpliwości, czy zapytania, na temat stanowiska naszego pisma co do działalności i roli naszej konserwatywnej reprezentacji parlamentarnej. Z pewnych naszych artykułów, krytykujących różne słabe strony polskiego konserwatyzmu, wysnuwają niektórzy z czytelników wnioski, jakoby pismo nasze zajmowało jakieś krytyczne czy opozycyjne stanowisko wobec naszych zachowawczych Posłów i Senatorów.

Stwierdziwszy kilkakrotnie taką opinję, musimy jasną i wyraźną dać jej odpowiedź.

Przyznajemy, iż pewne zwroty o „zbyt jednostronnem nastawieniu sfer zachowawczych ku oficjalnej arenie parlamentarnej" mogły istotnie wywołać u niektórych czytelników wrażenie, jakoby ukryta była w tem pewna aluzja krytyczna pod adresem naszych parlamentarzystów. Tak jednak nie jest i nigdy nie było, a nieporozumienie wyniknęło jedynie tylko z niedość jeszcze wyraźnego określenia w naszych artykułach, kogo i co w świecie zachowawczym właściwie atakujemy.

Otóż jasnem jest dla każdego, realnie i sprawiedliwie myślącego konserwatysty, że

1) już sam fakt, iż w obecnym, szeroko demokratycznym ustroju, z sześcioprzymiotnikową ordynacją wyborczą, bardzo stosunkowo nieliczny świat zachowawczy w Polsce posiada w Izbach ustawodawczych aż kilkudziesięciu przedstawicieli i to przeważnie rzeczywiście wybitnych i fachowych ludzi, jest olbrzymim, niezwykle doniosłym walorem dla ekspansji i roli idei zachowawczej,

o czem przecież — otwarcie mówiąc — siedem lat temu jeszcze nikt z nas nie mógł nawet marzyć,

2) nasi parlamentarzyści odgrywają na tamtejszym terenie bardzo wybitną rolę i bardzo doniosłe i produktywne pełnią zadanie, nietylko w zakresie pracy pozytywnej, ale również przez wielokrotne przyczynianie się do łagodzenia, czy nawet wprost hamowania różnych zbyt radykalnych koncepcji postronnych.

To pewna, że gdyby ich tam nie stało, to produkcja ustawodawcza większości demokratycznej i radykalnej ciał ustawodawczych jeszcze całkiem inaczejby wyglądała, niż to wszystko, co krytykują dziś tak często nietylko opozycjoniści, ale także mniej uświadomione sfery malkontentów z obozu zachowawczego.

Dlatego nie wymaga chyba dalszej argumentacji oczywisty wniosek, że jakikolwiek opozycyjny stosunek naszego pisma do prac i wysiłków konserwatywnych Posłów i Senatorów byłby oczywistym z naszej strony nonsensem i poprostu podcinaniem pismu naszemu autorytetu w sferach zachowawczych.

Jeżeli zaś atakujemy przy niektórych okazjach bierność, oportunizm czy apatję różnych sfer konserwatywnych, aby je przez to właśnie nakłonić do pożądanej autokrytyki i wzmożenia aktywności, to przecież jasnem jest, że pociski nasze kierowane są nie w tych, którzy na arenie parlamentarnej czy pozaparlamentarnej p r a c u j ą, ale w tych malkontentów lub „polityków" z szerszych szeregów zachowawczych, którzy, poza załatwianiem swych doraźnych, codziennych interesów... n i c n i e r o b i ą! Atakujemy zwłaszcza — i atakować będziemy aż do skutku — tych różnych pozaparlamentarnych zwolenników „polityki fotelowej", którym się ciągle jeszcze zdaje, że rola konserwatyzmu i udział ich w stronnictwie elity społeczno-politycznej ograniczać się mogą w dzisiejszych warunkach do wygodnego pogawędzenia od czasu do czasu o ró-

żnych nowinkach, sensacjach i „widokach“ politycznych, a którzy od wszelkiej pracy politycznej, w całem tego słowa znaczeniu, skwapliwie, nieraz nawet z wyraźną niechęcią stronią. Na podstawie długiego doświadczenia szeregu lat stwierdzić możemy dziwne zjawisko — zresztą od początku przez nas zwalczane — że akcja i rola konserwatyzmu wyczerpuje się dla polityków tego typu tylko na zebraniach o charakterze czysto informacyjnym, w czem z reguły naczelną grają rolę t.zw. „informacje z Warszawy“, im bardziej sensacyjne, tem bardziej pożądane, choćby na drugi dzień straciły zupełnie na aktualności i znaczeniu. A co najbardziej typowe, to fakt oczywisty, że z tych informacji i z tych nad niemi dyskusji nic konkretnego, pozytywnego, aktywnego dla tych polityków nie wynika, bo cóż mogą z niemi począć?!

Natomiast niejedna inicjatywa, niejedna propozycja jakiejś celowej, systematycznej, zbiorowej akcji w jakimbądź kierunku budzi odrazu niechęć lub generalną ucieczkę. Bo politykować, to łatwo i interesująco, ale zrobić coś, to już wymaga pewnej fatygi. I dlatego wielu mamy w naszych kołach urodzonych „polityków“, ale bardzo niewielu wyrobionych zwolenników pracy politycznej.

I to właśnie jest dzisiaj bezwzględnie najsłabszą stroną konserwatyzmu, której dla dobra sprawy wcale nie myślimy tuszować, tembardziej, że i tak wszyscy nasi przeciwnicy doskonale o tem wiedzą. I w tem też leży największy szkopuł aktywizacji konserwatyzmu do jakiejś konkretnej, skoordynowanej pracy, największa przeszkoda w podniesieniu go — poza areną parlamentarną — do tej wielkiej, produktywnej a wdzięcznej roli, która specjalnie w obecnych warunkach przed nim od sześciu lat się otwarła.

To więc — a nie pracę naszych parlamentarzystów—

krytykujemy ostro i piętnujemy. Od intelektu zachowawczego żądamy planowego podjęcia całego szeregu spraw państwowych, społecznych, gospodarczych, mniejszościowych, wyznaniowych i o charakterze zagranicznym, w których inicjatywa polskiego konserwatyzmu, przynajmniej na platformie prywatnej, wybitnie i zdecydowanie zaznaczyć się powinna. Nie chcemy zaś... wieczorów pod pod lipą!

Konserwatyzm w dzisiejszych warunkach ustrojowych — powiedzmy to sobie jasno — żadnej polityki w dawnem tego słowa znaczeniu, a więc o charakterze oficjalnym czy półoficjalnym, prowadzić nie może. Mogą w niej brać udział tylko ci, stosunkowo nieliczni jego przedstawiciele, których pewna konjunktura obdarzyła jakimś oficjalnym mandatem. I ci zadanie swe w granicach możliwości pełnią i spełnią. O to możemy być spokojni. Ale cała reszta konserwatystów politykować nie może, bo nie ma do tego w dzisiejszych warunkach ani władzy, ani niezbędnej liczby za sobą.

Dlatego konserwatyzm polski musi dzisiaj przedewszystkiem pracować i to samorzutnie, oryginalnie, rozwiązując pewne specjalne zadania, rzucając w opinję publiczną odpowiednie, zdecydowane dyrektywy i wykuwając spokojnie, rozważnie, ale i niewzruszenie pewne właściwe tory dla polskiej myśli i pracy państwowej.

A kto żądny jest nowinek i „informacji z Warszawy", ten niech nie zabiera innym drogiego czasu, ale niech zajrzy — do gazet. Znajdzie ich tam dość i dowie się o tem, co było i nawet o tem, czego wcale nie było...

I jeszcze jedną kategorję zwolenników konserwatyzmu atakujemy i atakować będziemy — tych mianowicie, którzy, poddając się zanadto wezbranym fluktom powojennego chaosu pojęć, koncepcji i stosunków, głoszą na prawo i lewo teorje płynności, oportunizmu i defetyzmu, a nawet

wprost zasady „niesprzeciwiania się złemu“ lub wpadają w zakresie prawa i ekonomji w jakąś niezrozumiałą dla nas metafizykę. Są wśród nich po części także bardzo poważni i uczeni ludzie i stąd zadanie nasze jest bardzo niewdzięczne, trudne i niepopularne. Ale działamy w najgłębszem przekonaniu, że w ostatecznym rezultacie oddajemy przysługę ideologji i praktyce zachowawczej.

Bo nie jest właściwą rolą konserwatyzmu licytować się z efemerycznymi, romantycznymi pomysłami różnych nowoczesnych postępowców, proroków i uszczęśliwiaczy, a zwłaszcza poszukiwaczy „nowych pojęć“ i „nowych form ustrojowych“. Wprost przeciwnie — jest bezwzględnym obowiązkiem i racją bytu konserwatyzmu ściągać romantyzm za poły na ziemię, stawiać wśród mgły i gmatwaniny pojęć t w a r d e i p r o s t e z a s a d y, przetrzymać niewzruszenie chwilowy ferment polityczno-gospodarczy i zdawać sobie każdej chwili sprawę z tego, że chociaż świat się stopniowo naprzód porusza, to jednak prastare, oczywiste, żelazne prawa życia, przyrody i logiki pozostaną zawsze w mocy. Niech więc inni, porywczy, zapalni, entuzjaści, rzucają się na wszystkie strony za lada podmuchem wiatru. Dajmy się im wyszumieć. To nie nasza rola, to niezgodne z powagą konserwatyzmu. To nie wysoki poziom. To tylko gra słów i frazesów i porywów. Wszystko to już bywało. Powinniśmy o tem dobrze wiedzieć i spoglądać na to pobłażliwem okiem, ale pod żadnym warunkiem w pracach, pismach i tendencjach naszych temu się nie poddawać.

Jak rozsądny nauczyciel wśród rozhukanej dziatwy, tak powinien stać konserwatysta w obecnym kołowrocie zjawisk, zmagań, kryzysów, konceptów i szaleństw powojennych. A już występkiem byłoby, gdyby z pewnych chwilowych niedomagań społecznych czy gospodarczych wyprowadzał pospieszne wnioski i proroctwa o zbliżającem się jakoby zwycięstwie socjalizmu, czy innego romantycznego absurdu.

Jeżeli my, konserwatyści, nie zachowamy jasnej myśli, równowagi i spokoju — to któż ma go zachować?

I dla tych, zbyt pohopnie kapitulujących wobec powojennej zawieruchy pojęć konserwatystów, „Nasza Przyszłość“ musi być z obowiązku i będzie bez pardonu, choćby to byli skądinąd nawet wybitni i zasłużeni ludzie. My bowiem przed nawałnicą absurdu nie kapitulujemy i mamy prawo żądać od konserwatyzmu przedewszystkiem — silnej kości pacierzowej!

Przy tej okazji, niezależnie od powyższego, wyjaśnić musimy jeszcze jedną kwestję, która w pewnych wypadkach okazała się sporną.

Niektórzy z naszych szanownych krytyków — coprawda bardzo nieliczni — zrobili nam zarzut, że „Nasza Przyszłość“ nie stoi, ich zdaniem, na tak wysokim poziomie, na jakimby widzieć ją pragnęli.

Każda życzliwa uwaga, choćby najbardziej krytyczna, wielce nam jest cenną. Ale nasuwa się tu bardzo delikatny problem, co mamy w warunkach dzisiejszej rzeczywistości nazywać „wysokim poziomem“ pisma?

Odpowiedź dla nas nietrudna: pismo stoi wówczas na najwyższym poziomie, jeżeli najlepiej i najskuteczniej spełnia wytknięte sobie cele. Wszystko inne jest bowiem tylko frazeologją, może piękną, może imponującą temu lub owemu, ale w dzisiejszej rzeczywistości — nieproduktywną.

Jako wyznawcy integralnego konserwatyzmu, nie jesteśmy chyba nazbyt pohopni do gonienia za każdym nowym kaprysem literackiej mody. Ale uznać musimy, że między „dawnym, dobrym czasem przedwojennym“ a dzisiejszym okresem leży jednak wielka przepaść pod każdym względem.

W owych bowiem dawnych, dobrych czasach, kiedy warunki życia były spokojne i przy pewnej dozie pracowi-

tości miał każdy swój byt mniejwięcej zabezpieczony, a ewolucja rozwijała się powolnem tempem, wysoki poziom pisma polegał na skupianiu w niem możliwie największej uczoności i możliwie największej ilości nazwisk wybitnych, które już same przez się dużo czytelnikom mówiły. Wszak wówczas każdy dziennikarski artykuł, wychodzący z pod pióra jakiegoś autora, głośnego w takim czy innym zakresie wiedzy lub roli publicznej, wywierał wielkie wrażenie, poruszał umysły, a mógł nawet stanowić początek jakiejś nowej epoki myśli i czynu w danym zakresie.

Otóż nikt nie może nam zaprzeczyć, że dziś jest inaczej. Panuje chaos pojęć, życie dosłownie z dnia na dzień, kryzys polityczny, społeczny, a nadewszystko gospodarczy, którego wynikiem jest niezmierna apatja i znieczulenie społeczeństwa na najlepsze, najmędrsze podniety. Żaden artykuł w dzienniku czy miesięczniku, pisany dawnym, niejako „profesorskim" stylem, pełen uczonych tez, reasumujący doniosłe cytaty z obcej literatury i wybitnem podpisany nazwiskiem, nie robi żadnego, albo prawie żadnego wrażenia, a już absolutnie żadnego nie pociąga za sobą praktycznego rezulatu. Kilku lub kilkunastu ludzi pochwali go i — na tem koniec.

Przecież od szeregu lat jesteśmy codziennymi świadkami tego zjawiska! Literatura i uczoność swoje, a życie swoje — jedno leży niemal całkowicie poza obrębem drugiego. I stąd pisma, pełne artykułów „o wysokim poziomie" w dawnem tego słowa znaczeniu, są nieraz chwalone, ale w obecnej, powojennej zawierusze nie mają żadnego praktycznego wpływu na społeczeństwo.

Z całkiem innego założenia i z całkiem innym celem powstała „Nasza Przyszłość". Jakkolwiek bezkompromisowo konserwatywna i licząca w gronie swych współautorów ludzi, którzy doskonale potrafiliby pisać uczone ar-

tykuły „o wysokim poziomie“, aż nadto przeładowane cytatami literatury ze wszystkich stron świata, dostosowała się jednak „Nasza Przyszłość“ przedewszystkiem do „naszej teraźniejszości“, do tej rzeczywistej rzeczywistości, w której żyjemy i zmagamy się z uszczerbkiem zdrowia, nerwów i mienia i postawiła sobie cel ściśle praktyczny: żyć pulsem obecnych potrzeb i bolączek, docierać do głębi każdego zagadnienia, mówić o niem taką prawdę, jakiej niejeden boi się wypowiedzieć i wyciągać pewne praktyczne, ale zarazem programowe wnioski na dalszą metę.

Wysoki poziom pisma w dzisiejszych warunkach polega — według całego naszego doświadczenia — wcale nie na sadzeniu się na jakieś bardzo wysokie, uczone, skomplikowane i artystyczne formy i tony, ale na bardzo prostych i dla każdego zrozmiałych słowach obserwacji i prawdy, zawierających w sobie nietylko istotę danej sprawy, ale przedewszystkiem także jakąś inicjatywę, podnietę do jakiejś akcji, do nastawienia opinji i do czynu. A czyn nie wypływa dzisiaj bezwarunkowo z żadnej „uczonej“ rozprawy!

Przeciwnie, jesteśmy ciągle świadkami bardzo charakterystycznego zjawiska, jak wiele, jak niezmiernie wiele bardzo poważnych dzieł, rozpraw i artykułów w różnych dziedzinach pozostaje zupełnie bez echa i wpływu. Zadrukowany papier i nic więcej. Co gorsza, silenie się na zbyt wysoki poziom rozpraw i artykułów zaciemnia nieraz ich sens i styl i wywołuje ową niepożądaną gmatwaninę pojęć, ową płynność i metafizyczność rzucanych projektów i bynajmniej nie przyczynia się do wyjaśnienia problemów i „podniesienia poziomu“ opinji publicznej. Jedyny wpływ wywiera jeszcze na społeczeństwo mocne, dosadne, z odwagą cywilną a prostotą wypowiedzenie jakiejś prawdy lub narzucenie jakiejś życiem umotywowanej tezy, któraby wywołała taki czy inny odruch opinji i zmusiła ludzi

do myślenia, dała im jakiś nowy, konkretny problem do rozwiązania i to przedewszystkiem problem z dziedziny praktycznych potrzeb Polski na jutro i pojutrze.

Stąd w artykułach „Naszej Przyszłości“ pomijamy nieraz celowo uczone lub zagraniczne cytaty. Bo i poco one? Stoimy na stanowisku ściśle rzeczowem, że albo coś jest słuszne i pożyteczne, albo nie jest słuszne, a jest jałowe. W jednym i drugim wypadku nie potrzeba czytelnikom naszym wysokiego tonu, ani uczonych i zagranicznych cytat, ani koniecznie wybitnych nazwisk pod artykułem. Chodzi o rzecz, a nie o zaimponowanie czytelnikom. Niech oni sami zechcą zastanowić się nad istotą sprawy, niech oduczą się iurare in verba magistri!

A pozatem, ogromnie nie lubimy zabierać głosu w kwestjach, które już tysiąc razy przez tysiąc autorów, czy prelegentów, czy gazet były omawiane. Dlatego mniej nas interesuje „zajmowanie stanowiska“ względem kwestji z areny wewnętrznej lub zewnętrznej polityki czy gospodarki oficjalnej, któremi aż do przesytu jesteśmy skądinąd karmieni. Przecież żadnego dla naszego pisma nie może przedstawiać interesu ani atrakcji dublowanie treści innych pism lub powtarzanie, choćby w nieco innem oświetleniu, tego wszystkiego, o czem tylu, tylu innych rozprawia, przemawia, konferuje i pisze. „Nasza Przyszłość“ chce właśnie poruszać przedewszystkiem takie sprawy i problemy bliższej i dalszej przyszłości, o których nikt nie mówi, nikt nie konferuje i nikt nie pisze. A te problemy są właśnie najciekawsze i dla naszej polskiej przyszłości najżywotniejsze. Bo z teraźniejszością, z utartemi już oddawna zagadnieniami, dadzą sobie już jakoś radę rządy i społeczeństwo polskie. Ale czy dadzą sobie rzeczywiście radę z problemami przyszłości, jeżeli opinja publiczna zgóry na nie się nie nastawi i nie pomyśli zawczasu o sposobie ich rozwiązania?..

I w propagowanu tego właśnie, o czem dzisiaj nie-

zmiernie mało ludzi w Polsce myśli, a jeszcze mniej w tych kierunkach działa, widzimy dostatecznie wysoki poziom pisma. A im prościej i przystępniej dla wszystkich, bez blichtru i frazesów, bez powoływania się na egzotyczne autorytety, jest to w artykułach wyrażone, tem wyższy jest ich poziom, bo — skuteczniejszy!

Redakcja.

KATOLICYZM UKRAIŃSKI.

NA MARGINESIE ARTYKUŁU KS. METROPOLITY SZEPTYCKIEGO.

W ukraińskiem czasopiśmie „Meta“, wychodzącem we Lwowie, z dnia 10 kwietnia b. r., ukazał się artykuł ks. Metropolity Szeptyckiego pod nagłówkiem „Ukraiński Sojuz Katolicki a polityka“ — artykuł tak znamienny i w praktycznych swych wskazaniach tak doniosły, że niepodobna nam przemilczeć tu naszego stanowiska.

A wolno nam, konserwatystom-katolikom, w tym wypadku zająć pewną krytyczną pozycję wobec niektórych twierdzeń tego artykułu, gdyż nie jest on oficjalną enuncjacją Kościoła, nie jest listem pasterskim, lecz tylko artykułem, wchodzącym daleko w dziedzinę polityki, a zwłaszcza polityki narodowościowej.

Dlatego też, chociaż artykuł ten wyszedł z pod pióra tak wysokiego duchownego Autorytetu, możemy jednak zanalizować go przedewszystkiem jako politycy i — Polacy. A czynimy to, trzymając się ściśle leżącego przed nami oryginalnego tekstu „Mety“, którego najważniejsze ustępy poniżej kolejno w tłomaczeniu podajemy.

„Katolicyzm, to ogół, to całość, a partja, to tylko jakaś cząstka. Dlatego to wszyscy katolicy świata przyjęli tezę, że nie może być politycznej partji katolickiej i że katolicyzm a polityka, to dwa słowa, które, połączone razem, mieszczą w sobie cotradictionem in terminis... Partja katolicka z jakimkolwiek ściśle określonym programem politycznym jest sprzecznością sama w sobie. I słusznie: każdemu katolikowi wolno należeć do jakiegobądź ugrupowania partyjno-politycznego, którego program nie sprzeciwia się katolickiej etyce czy wierze. Otóż katolik może być monarchistą, konserwatystą, demokratą, pryncypialistą, czy

ugodowcem, a nawet w pewnych, wyjątkowych warunkach ekstremistą.

„Nawet takie zasady Kościoła katolickiego, jak posłuszeństwo ustawom i Władzy Duchownej czy świeckiej, są teoretycznie tak otoczone umowami i zastrzeżeniami, że w praktyce można znaleźć w każdem państwie sporo ustaw, niezupełnie obowiązujących katolików i jest dużo wypadków, w których oni niekoniecznie powinni ustaw tych słuchać. Przeciwnie, nie są wykluczone wypadki, w których katolicy mogą sprzeciwić się tym ustawom i tym władzom. To znaczy, że nawet to, co nazywamy legalnością, nie zawsze należyć będzie do tych zasad, które bezwarunkowo i wszędzie obowiązują katolików...

„Co więcej, istnieją także ciężary społeczne i t. zw. ustawy karne, które mogą być w niektórych, szczególnych wypadkach tak ważkie lub tak niesprawiedliwe, że katolikom wolno się od nich uwalniać, a także i innych bronić przed niemi. Cóż dopiero mówić o sprawach, nie mających żadnego związku z chrześcijańską etyką i o których całkiem wyraźnie może każdy chrześcijanin mieć takie czy inne zdanie“.

Mogły i mogą niewątpliwie zachodzić w dziejach takie wyjątkowe warunki, gdzie katolik musi sprzeciwić się pewnym nakazom władzy świeckiej. Takie warunki wydają męczenników. O tem wiedzą wszyscy katolicy. I gdyby np. u nas miała być przez sejm uchwalona, czy przez rząd narzucona ustawa, laicyzująca małżeństwo, według osławionego projektu Komisji Kodyfikacyjnej, to takiej ustawie musiałby każdy prawdziwy katolik stanowczo się przeciwstawić i powszechnym głosem oburzenia spowodować, żeby stała się odrazu conajmniej — martwą literą.

Ale co w wyżej przytoczonym ustępie artykułu ks. Metropolity musi nas szczególnie zaciekawić, to przedewszystkiem zagadnienie, dlaczego właśnie obecnie Dostojny Autor, uznał za wskazane o takich wyjątkowych wypadkach „nieposłuszeństwa cywilnego“ katolic-

kim czytelnikom „Mety“ przypomnieć? Gdzie obecnie w Polsce, a zwłaszcza na Ukrainie halickiej, taka wyjątkowa sytuacja zachodzi, któraby zmuszała katolików do oporu przeciw ustawom, a ks. Metropolitę do przypomnienia w specjalnym artykule o dopuszczalności takiego oporu z katolickiego punktu widzenia?

Na to pytanie, ze względów ogólno-państwowych bardzo ważne, nie znajdujemy na razie wyjaśnienia. Są bowiem pewne tezy, z natury rzeczy słuszne i oczywiste, ale oczywiste tylko wówczas, jeżeli zachodzi jakaś konkretna potrzeba ich poruszenia z autorytatywnej strony. Jeżeli zaś takiej potrzeby niema, to poruszenie ich w autorytatywnej enuncjacji musi mimowoli wyłonić pytanie: w jakim celu, z jakiego powodu ta enuncjacja nastąpiła? Czy coś zaszło, czy katolicyzm na Rusi Czerwonej znalazł się w niebezpieczeństwie, czy w kolizji z jakiemś prawodawstwem państwowem, z jakimiś „ciężarami społecznymi“ lub „ ustawami karnemi“, o których artykuł ks. Metropolity wspomina?

Wyczuwa się z cytowanych ustępów, że ks. Metropolita ma coś na myśli — ale co?

A powtóre, ta koncesja na rzecz „estremizmu“! Tej również nie całkiem możemy zrozumieć. Należało to bezwarunkowo bliżej określić, bo inaczej każdy czytelnik, ukraiński czy polski, może w danych warunkach rozumieć takie wyrażenie, rzucone przez Metropolitę halickiego szeroko w opinję publiczną, tylko w takim sensie, że katolickiemu Uraińcowi wolno wyznawać nawet najskrajniejsze uczucia oporu wobec państwa polskiego, w którego granicach żyje, jeżeli mu się coś w tem państwie nie podoba.

Nie wątpimy ani na chwilę, że ks. Metropolita nie ma tego na myśli, ale w takim razie trzeba — powtarzamy — bliżej określić tę koncesję na rzecz krańcowości, zwłaszcza, jeżeli przemawia się do ogółu społeczeństwa ukraińskiego, w którem niestety nie brak ekstremistów, a nawet terrorystów!

A jeszcze większe budzić musi żdziwienie zamieszczanie w artykule, mówiącym o stowarzyszeniu „Ukraiński Katolicki Sojuz“, zdania o ciężarach społecznych i ustawach karnych, tak ważkich lub tak niesprawiedliwych, że aż „katolikom wolno się od nich uwalniać, a także i innych bronić przed niemi“ Do czego się to odnosi w związku z egzystencją Sojuza? Kto, kogo i przeciw czemu ma bronić? I znowu przeciętny czytelnik musi mimowoli wyrobić sobie opinję, że Ukraińskiemu Sojuzowi we Lwowie coś grozi i że ks. Metropolita wzywa go do oporu przeciw temu niebezpieczeństwu w imię katolicyzmu.

A na wstępie oddziela Czcigodny Autor powszechność katolicyzmu od partji politycznych, motywując to w dalszym ciągu w sposób następujący:

„I dlatego, gdy katolicy zgrupują się w jakąś partję, w której przyjmują pewne tezy polityczne, obojętne dla wiary katolickiej, albo gdy stworzą konserwatywną czy demokratyczą partję polityczną, prawą czy lewą, to wówczas taka partja nie ma prawa nazwać się katolicką w swej istocie, bo okoliczność, że większość jej członków — to katolicy, nie daje jej do tego prawa. Gdy zaś Władza Kościelna daje inicjatywę lub zaprasza wiernych do wzięcia udziału w jakiejś akcji, to wówczas wymogi duszpasterstwa i najprymitywniejsze duszpasterskie zrozumienie obowiązków wymaga od przedstawicieli tej Władzy Duchownej, by oddzieliła zasady katolickie od zasad politycnych i żeby wszelkimi sposobami strzegła organizacje katolickie przed przyjęciem, powiem nawet, przed wpływem jakichkolwiek zasad politycznych... Organizacja z istoty swej polityczna, a nazywająca się sama katolicką, wprowadza zamieszanie w szeregi katolików i szkodzi Kościołowi. I każdy przedstawiciel Władzy Kościelnej powienien przestrzec, że taka organizacja, choć złożona w przeważnej części z katolików, nie jest w rzeczywistości organizacją katolicką...

„Otóż, by myśli katolickiej w opinji ogółu nie poniżać i nie wiązać jej z całkiem obcymi dla niej żywiołami, musi

każda organizacja katolicka strzec się, by do swoich zasad katolickich nie mieszać zasad politycznych. Może ona poszczególnym członkom swoim pozwalać prowadzić politykę, jaką chcą, ale wszyscy razem, jako ciało odrębne, jako organizacja, muszą stać ponad wszystkiemi partjami i politykami. Powyższe odnosi się przedewszystkiem do tych powszechnych problemów, które z dnia na dzień się zmieniają i mogą doprowadzić nawet katolików do sporów zaciętych".

Jako konserwatyści-katolicy jesteśmy najgorętszymi wyznawcami tej wielkiej i oczywistej prawdy, że katolicyzm jest powszechnym i nadrzędnym nietylko nad różnicami przekonań i stronnictw politycznych, ale nawet nad poczuciem państwowem i narodowem. Dla nas nie ulega kwestji, że wiara idzie na pierwszem miejscu, a patrjotyzm w stosunku do niej dopiero na drugiem. O tem pamiętać winni wszyscy katolicy, bez względu na różnice partyjne i narodowościowe, gdyż religja jest sprawą nadprzyrodzoną, a uczucie patrjotyczne bądź co bądź tylko sprawą ziemską, ludzką.

Ale dlaczego zabraniać katolikom, biorącym udział w życiu publicznem, a wyznającym zasady katolickie, bliższego określania się jako takie a takie stronnictwo katolickie? Przecież takie określenie jest chyba tylko szlachetnym wyrazem wiary danego zgrupownia ludzi i wywiera ipso facto pewien wpływ na charakter i działalność danej grupy czy stronnictwa. Przecież stronnictwo polityczne, o ile jest poważnem i program ma uczciwy, nie jest czemś złem, ani też nie jest czemś złem lub pogardy godnem polityka w znaczeniu pracy dla państwa i narodu i dla sprawy publicnej wogóle! Jeżeli więc poważne stronictwo, o poważnym i uczciwym programie, zaznacza nadto w swym tytule, że chce działać także i dla sprawy katolickiej, to dlaczego mu tego zabraniać? Wszak religja, jakkolwiek kwestja ponadpartyjna, jest jednak także sprawą publiczną z wielu

względów. Wszak np. „Chrześcijańska Demokracja“, powstała na podstawie encykliki Leona XIII, ma w swym tytule przydomek wyznaniowy, obok przydomka czysto politycznego.

Oczywiście, że wszystkie dzieła i zamiary ludzkie są ułomne i jak poszczególny katolik może grzeszyć, tak grzeszyć może i zorganizowany politycznie zespół katolików. Ale dlaczego wykluczać pracę dla katolicyzmu i oficjalne wyznawanie wiary katolickiej z zakresu służby na rzecz państwa i to tembardziej, że — praktycznie biorąc — *poza Kościołem sprawa katolicka broniona jest publicznie właśnie przez stronnictwa polityczne o charakterze katolickim.* Bo przecież nie przez jakieś kontemplacyjne związki pobożne, bractwa kościelne i tym podobne apolityczne zrzeszenia!

Jeżeli np. jakieś niebezpieczeństwo grozi katolicyzmowi w państwie, jakaś antyreligijna gotuje się ustawa, to — poza Kościołem — nie bractwa i inne związki bezpartyjne mogą skutecznie temu się przeciwstawić, ale właśnie katolickie stronnictwa polityczne.

To nie wymaga chyba komentarzy.

Ale w dalszych wywodach ks. Metropolity zachodzi jednak pewna, *widoczna dla każdego sprzeczność* z wyżej wyłuszczoną jego tezą odcięcia katolicyzmu od polityki — i to podwójna

Najpierw w ustępie:

„Bo cóż naprawdę nazywamy słowem „polityka“? Według nas znaczenie, jakie możemy dziś nadać temu słowu, jest chyba takie: nieskończoność tez, metod, nawet zasad jednodniowych, które ludzie, zajmujący się sprawami publicznemi, stosują w życiu. Do tych tez politycznych podobne są inne tezy, zwane w polityce politycznemi, *które jednak nie zawsze dla danego narodu mają znaczenie polityczne. Do takich tez zaliczamy wszystkie te, któ-*

re jakiś naród jednogłośnie przyjmuje, choć drugi naród może je w danym wypadku odrzucić. Naprzykład: Ukraińcy nie uważają za kwestję polityki tezy, iż Wołyniacy lub Chełmszczanie i Poleszucy należą do narodu ukraińskiego; wszyscy są w tej tezie jednomyślni, choć ją Polacy uważają za polityczną".

A więc ks. Metropolita dzieli przekonania polityczne na dwie kategorje: jedne, które nie wszystkie stronnictwa w danem społeczeństwie wyznają i które dlatego są par excellence „politycznemi" i od nich też nomenklatura katolicyzmu stanowczo ma być odcięta — i drugie, wyznawane przez cały naród, które temsamem jakoby tracą charakter polityczny i dlatego nomenklatura katolicyzmu może im towarzyszyć. Kwestja więc np. walki ze skrajnym radykalizmem, który zawsze i wszędzie staje w praktyce na platformie ateistycznej, nie może być według ks. Metropolity wiązana z katolicyzmem w tytule, gdyż jest sprawą „polityczną". Ale może być z katolicyzmem na Rusi Czerwonej wiązana sprawa Wołyniaków i Poleszuków, a nawet Chełmszczyzny (!), gdyż sprawa ta jest w pojęciu całego narodu ukraińskiego uzgodnioną *). Zupełnie tak, jak gdyby pewne nastawienie z konieczności antyniemieckie, w którem zgodny jest cały naród polski, nie było dla niego sprawą polityczną i dlatego wolno było tworzyć polskie stronnictwa katolicko-antyniemieckie!!

A że ta myśl wynika z omawianego artykułu, świadczy o tem wyraźnie jego ustęp końcowy:

„Wszystkie te uwagi odnoszą się też do „Ukraińskiego Katolickiego Sojuza". Ukraiński Związek Katolicki, to organizacja katolicka Ukraińców, zawiązana na wezwanie Metropolity halickiego. Nie ma on wcale programu poli-

---

*) Zresztą nikt z Polaków nie przeczy, że na wymienionych ziemiach mieszkają także Ukraińcy!

tycznego i żadnego programu politycznego przyjąć nie może tak długo, dopóki programy polityczne dzielą między sobą Ukraińców. Zato Ukraiński Związek Katolicki może przyjmować takie tezy zasadnicze, które tylko dla obcych są polityczne, a dla nas nie, bo na nie godzi się cały ukraiński naród, więc np. tezę, że będziemy na wszystkich odinkach narodowego i politycznego życia sposobem legalnym zdobywać dobrobyt i „prawo“ i że do tego będziemy dążyć w „życiu politycznem“.

„Dlatego nie sprzeciwi się to słowom powyższym, gdy powiem, że Ukraiński Katolicki Związek nie ma i nie może mieć swych partyjnych programów politycznych i celów i że jego celem i programem jest zjednoczyć wszystkich w jednej pracy dla dobra ukraińskiego narodu w znaczeniu chrześcijańsko-katolickiem“.

A więc „Ukraiński Katolicki Sojuz“, który wyznaje tezy niby niepolityczne, bo przez całe społeczeństwo ukraińskie uzgodnione i który „na wszystkich odcinkach narodowego i politycznego życia zdobywać ma dobrobyt i prawo dla Ukraińców“, może być uprzywilejowany przydomkiem „katolicki!“. Otóż z takim podziałem zagadnień narodowych i terytorjalnych na „polityczne“ i „niepolityczne“, według opinji nacjonalizmu ukraińskiego, niepodobna się zgodzić dla tej prostej przyczyny, że sprawa Ukraińców wołyńskich czy poleskich jest tak samo sprawą par excellence polityczną, jak sprawa walki „Ukraińskiego Katolickiego Sojuza“ o dobrobyt i prawa „na wszystkich odcinkach narodowego i politycznego życia“, jak zresztą i każda inna sprawa publiczna. Ks. Metropolita Szeptycki stara się najwidoczniej — wbrew swym twierdzeniom w pierwszej części artykułu — uprzywilejować specjalnie założony przez niego związek walki o prawa narodowe i gospodarcze, a więc polityczne, dozwoleniem używania nazwy „katolic-

ki", czego odmawia wszystkim innym stronnictwom i zrzeszeniom katolików na świecie!

Jest więc, niestety, bezspornem, że ks. Metropolita, przed którego duchowym autorytetem głowę chylimy i nigdy nie ośmielilibyśmy się jego pasterskiego słowa dyskutować, występuje jednak w tym swoim artykule jako polityk i to tak jednostronny polityk, że pewne kwestje, przez całe lub rzekomo całe społeczeństwo ukraińskie uzgodnione, wyjmuje wogóle z dziedziny polityki, jakgdyby twierdząc, że „Ruthenia locuta, causa finita". A przecież takich kwestji, par excellence politycznych, o które mniejwięcej wszystkim Ukraińcom małopolskim chodzi, jest bardzo wiele i może ich mnożyć się coraz więcej. Czyż te wszystkie kwestje, te wszystkie żądania, nawet „ekstremistyczne", uważać będzie ks. Metropolita za wyjęte ze spraw politycznych, nadrzędne i dlatego uprzywilejowane przydomkiem „katolicki"?!

Jest w tem wszystkiem więc widoczna sprzczność, którą koniecznie z miarodajnej strony wyjaśnić należy i to w sosób tak wyraźny i przekonywujący, żeby nikt nie mógł mieć żadnych wątpliwości co do właściwych intencji ks. Metropolity halickiego. I to tembardziej, że — praktycznie biorąc — niemasz na całym świecie, a już najmniej w społeczeństwie ukraińskiem, żadnego zrzeszenia o charakterze jakiejkolwiek pracy narodowej, któreby w istocie swej, choćby nie w założeniu, nie było wyrazem i ekspozyturą pewnych określonych przekonań i celów politycznych. Taka apolityczność byłaby przecież praktycznie niemożliwą i „Katolicki Ukraiński Sojuz" także wyjątku od tej reguły w praktycznem działaniu stanowić nie może.

Reasumując, stwierdzić musimy, że ks. Arcybiskup Szeptycki występuje w tym wypadku — zapewne mimo woli — nietyle jako Metropolita halicki, ile przedewszystkiem w roli jakgdyby politycznej głowy społeczeństwa ukraińskigo, wyznającego grec-

ko-katolicki obrządek i dąży niejako do zmonopolizowania całego „ruchu ukraińskiego“ w założonym przez siebie Związku, którego cele sam wyraźnie określa jako nie wyłącznie religijne, ale w wysokim stopniu także polityczne i polityczno-gospodarcze. Tak więc, mimo przeciwnej zapewne intencji ks. Metropolity, „Ukraiński Katolicki Sojuz“ staje się siłą rzeczy jakimś uprzywilejowanym w jego archidjecezji ośrodkiem życia narodowego i politycznego, a więc poprostu... stronnictwem. I na to żadne argumenty nie pomogą. Mogą różni ludzie milczeć wobec wysokiego autorytetu Dostojnego Autora cytowanego artykułu, niemniej jednak rzeczywistość pozostanie rzeczywistością.

A co największe wywołać musi zastrzeżenia z polskiej, a częściowo i z ukraińskiej strony, to ów dziwny podział kwestji politycznych, jaki Autor artykułu w sposób może zbyt apodyktyczny czytelnikom narzuca, mianując dość dowolnie pewne narodowościowe i polityczne zagadnienia niepolitycznemi, które osłania autorytetem religji, inne zaś obejmuje lekceważąco mianem „polityki“ i tym odmawia tytułu katolickiego.

Ponieważ segregacja tego rodzaju wychodzi stanowczo i bezspornie poza zakres Władzy Duchownej, dlatego możemy z całą swobodą oświadczyć, że na tego rodzaju segregację spraw świecko-politycznych stanowczo się nie godzimy.

Dalecy jesteśmy od jakiejkolwiek chęci przeciwstawiania się akcji „Ukraińskiego Katolickiego Sojuzu“. Przecież społeczeństwo ukraińskie może także organizować się w rozmaite związki, byle nie wywrotowe, a o tem w wypadku Sojuzu, pozostającego pod wysokim protektoratem Metropolity halickiego, oczywiście mowy być nie może. Jak się społeczeństwo ukraińskie organizuje, to jego wewnętrzna sprawa. Nic nam do tego. Ale nie może nam, Polakom, być rzeczą całkiem obojętną, że nie wszyscy Ukraińcy chcą należeć do Sojuza

i cierpią pod jego czysto świecką, polityczną i gospodarczą supremacją. Wszak na arenie polskiej polityki nie pretendujemy bynajmniej do monopolu naszego obozu konserwatywnego i nie żądamy dla niego ekskluzywnego przywileju „katolickości" w polskiem życiu politycznem. Nie możemy więc temsamem uznawać podobnego monopolu i przywileju Ukraińskiego Sojuzu w społeczeństwie ukraińskiem.

Rzecz jasna i bezsporna.

Inaczej brzmią dla Polaków i Ukraińców rzeczywiście nadrzęddne słowa epokowego Listu Pasterskiego ks. Biskupa stanisławowskiego, Grzegorza Chomyszyna! Tu przemawia istotnie Biskup katolicki do ogółu wiernych, bez względu na to, jakiego są obrządku. Polak czy Ukrainiec, czytając to Orędzie Pasterskie, jeżeli tylko jest uczciwym człowiekiem, stojącym na serjo na gruncie katolickim, musi bić się w piersi: peccavi! Ks. Biskup Chomyszyn nie pisze artykułu prasowego, którego wolno każdemu krytykować, ale wyraźnie i autorytatywnie zabiera głos z katedry pasterskiej, nie wahając się wkroczyć głęboko w świeckie zmagania polityczne społeczeństwa ukraińskiego i polskiego, nie osłaniając postulatów narodowych Ukraińców przywilejem katolicyzmu, ale domagając się zarówno od rządu i społeczeństwa polskiego, jak i od społeczeństwa ukraińskiego, aby postępowały rzeczywiście w imię zasad katolicyzmu, nawet na arenie czysto świeckiej polityki. Prawi List ów gorźką a szczerą prawdę jednej i drugiej stronie.

I dlatego List Pasterski ks. Biskupa Chomyszyna jest naprawdę dziełem epokowem. Wywołał refleksję z jednej i z drugiej strony. Stawia sprawę par excellence świeckopolityczną na gruncie szczerze i prawdziwie katolickim — w rzymskiem, Piotrowem tego słowa znaczeniu. I dlatego też wszystkie sfery, ściśle objektywnie myślące, zgrupowane bezpośrednio lub pośrednio dokoła niezależnego organu rdzennej myśli konserwatywnej w Polsce, „Naszej Przy-

szłości", muszą w imię rzeczywistości i prawdy dziejowej stanąć stanowczo po stronie tego właśnie dokumentu historycznego, jakim jest dla Ukraińców i dla Polaków List Pasterski ks. Biskupa Chomyszyna. List ten wzywa do rachunku sumienia jedną i drugą stronę, jest istotnie neutralny i dlatego właśnie, mimo odważnego zejścia na platformę świeckiej polityki, zmusza Ukraińców i Polaków do obrania innych, niż dotąd, metod współpracy i pracy — prawdziwie i głęboko katolickich.

List ten nie zawahał się przed napiętnowaniem dotychczasowych metod dążeń Ukraińców do zdobycia państwowego bytu, jako sprzecznych z duchem katolicyzmu, a tem samem wywołał refleksję w sumieniu i polskiej strony, że i jej metody załatwiania sprawy Rusi Czerwonej nie zawsze były zgodne z duchem katolicyzmu.

I dlatego też w naszem natolickiem sumieniu my, Polacy, nie jesteśmy w stanie odmówić wielkiej słuszności słowom Stanisławowskiego Pasterza. Bez względu na różnice narodowościowe czujemy się wobec Niego, jako błądzące dotąd owieczki wobec Biskupa. Dlatego też List Pasterski ks. Chomyszyna wywarł obustronne, wielkie wrażenie na Ukraińcach i Polakach, pradziwie po katolicku myślących i spowodował spontaniczne — niezależne od bezpośrednich zamiarów ks. Biskupa — porozumienie między pewną elitą żywiołów społecznych i katolickich w obu społeczeństwach.

Istniejące w bardzo szczupłem gronie stronnictwo ukraińskie Katolicko-Narodowe, rozwinęło się w przeciągu roku do rozmiarów silnej grupy, opartej na zasadach prawdziwie katolickich i trzeźwego realizmu politycznego. Z polskiej strony wywołał ten ruch nietylko żywą sympatję, ale cowięcej, także głębsze przekonanie o jego słuszności i celowości, aczkolwiek ks. Biskup Chomyszyn idzie jasno i wyraźnie, bez osłonek i stwarzania sztucznych przywilejów, daleko dalej, jako rdzenny Ukrainiec, niż ks. Metropolita Szeptycki, gdyż stawia Ukraińcom otwarcie za cel „dojrze-

wanie do własnej państwowości“. Otóż, szczerze mówiąc, my, Polacy konserwatyści, tego uczciwego, otwartego dążenia Ukraińców do własnej państwowości, opartego na głębszych zasadach nauki Chrystusowej, nietylko nie obawiamy się dla egzystencji Polski, ale przeciwnie — widzimy w tem znaczne dla obu narodów korzyści na przyszłość. Natomiast protestujemy przeciwko jednostronnemu, w istocie nawskroś nacjonalistycznemu uprzywilejowaniu Sojuza, którego nie statut, ale praktyczna działalność musi z natury rzeczy pogłębić przepaść między obu narodami. Sojuz jest mimowoli narzędziem „ekstremistycznego“ nacjonalizmu ukraińskiego, który zwalczać musimy tak, jak zwalczamy polski ekstremistyczny nacjonalizm, który także aroguje dla siebie monopol katolicyzmu.

I dlatego my, Polacy, trzeźwo myślący i wyznający niezłomnie głębsze zasady katolicyzmu, zwłaszcza kardynalne jego przykazanie miłości bliźniego, stajemy zdecydowanie po stronie orędzia ks. Biskupa Chomyszyna, chociaż (a może właśnie dlatego!) orędzie to jest integralnie ukraińskiem i głosi szczerą, nadrzędną prawdę bez obsłonek.

Stąd też rozwijające się na tle Orędzia Pasterskiego Katolicko-Narodowe Stronnictwo Ukraińskie, które zrodziło się samorzutnie i niejako „organicznie“, gdyż ks. Biskup Chomyszyn wcale tego nie miał na celu, zasługuje w całej pełni na swój katolicki przydomek. Poraz pierwszy bowiem w dziejach Rusi — w szerokiem tego słowa znaczezniu — powstał narodowy ruch ukraiński, choćby narazie tylko wśród pewnej elity, który uzależnia wyraźnie i bezkompromisowo dążenia Ukraińców do uzyskania państwowego bytu od ufundowania tych dążeń na głębiej pojętych i w życiu praktykowanych zasadach katolickiego Kościoła. Słusznie ktoś zauważył, że od czasu, jak Ukraina Ukrainą, poraz pierwszy począł się w niej odruch już nietylko trwania przy unji z Rzymem, ale i stosowania w świeckiem życiu politycznem zasad katolicyzmu,

których nie stosują bezwarunkowo różne partje i organizacje ukraińsko-nacjonalistyczne, reasumujące ukraińską rację stanu w programowej nienawiści i opozycji przeciw wszystkiemu, co polskie. A ideologja katolicka wskazuje, także w praktycznej polityce, całkiem inną drogę!

„Stańczyk".

NA PRZEŁOMIE DZIEJÓW.

Pod tym tytułem zamieścił niedawno jeden z najbliższych współautorów i sympatyków naszego pisma, p. Józef Czarnecki, w „Przeglądzie Katolickim“ następujący artykuł w sprawie zainicjowanaj przez Koło Przyjaciół „Naszej Przyszłości“ idei bloku dziewięciu państw środkowowschodniej Europy. Artykuł ten, będący rozwinięciem naszego artykułu „Przez blok agrarny do przymierza“, zamieszczonego w styczniowym numerze „Naszej Przyszłości“ b. r., przedrukowujemy tu in extenso dla dalszej informacji czytelników i to tembardziej, że koncepcja ta realizuje się już w postaci pewnej akcji praktycznej, zmierzającej do celu bez względu na różne dorywcze kombinacje dyplomatyczne, inicjowane raz poraz wśród intryg i niepowodzeń na oficjalnej arenie międzynarodowej.

Byłoby wielce wskazanem, aby całe polskie społeczeństwo, natchnione prostym instynktem samozachowawczym, skupiło się — na razie przynajmniej na arenie prywatnej — dokoła tej koncepcji, daleko nam bliższej i realniejszej, niż wszelkie pomysły paneuropejskie, naddunajskie i im podobne.

Pamiętamy wszyscy, jak pod koniec wojny Edward Benesz rzucał na całą Europę hasło: Détruisez l'Autriche! Chodziło o tę monarchję, o której Napoleon powiedział, że gdyby jej nie było, należałoby ją stworzyć, a ktoś bynajmniej nie żartem nazwał Małą Ligą Narodów.

Lecz w owej chwili nie oglądano się na nic. A Clemenceau, jeden z sygnatarjuszy traktatów, zapewne zapomniał o słowach zwycięzcy z pod Austerlitz.

Ludzie byli tak zadowoleni ze zniszczenia Małej Ligi Narodów, że czemprędzej założyli wielką Ligę Narodów, z siedzibą w Genewie i z zasięgiem nieomal kosmicznym. Oczywiście było to tak wiele, że aż prawie nic. Liga Narodów, stróż traktatów, kwitła na grobie Austro-Węgier w sposób anemiczny. Przeszkadzała ona ich wskrzeszeniu, choć nie przeskadza różnym changements, gdy chodzi o Fiume, Kłajpedę, lub Mandżurję. Jest tak wielka, kosmiczna, że w małych rzeczach nieużyteczna. Jest nieomal metafizyczną fikcją i umiera z dnia na dzień na sclerosa diplomatica.

Oczywiście w tem pojęciu jest pewna przesada, ale gdy tak syntetycznie podmalowaliśmy Europę i jej politykę, widać, jakie to stare próchno.

Kiedy wielkie idee zawiodły, wysunięto mniejsze: najpierw paneuropę, ale i te buty były za obszerne na nogi rzeczywistości.

Wówczas Francuz Tardieu, kto wie, może inspirowany przez ducha Napoleona, rzucił hasło unji naddunajskiej, czyli powrotu do zmodyfikowanej koncepcji Austro - Węgier.

Tak więc w 13 latach po zgonie Austro-Węgier, rzucono hasło restitutio ad integrum.

13 lat, potrzebnych na stwierdzenie, że zrobiono ongiś głupstwo, to sub specie historiae nie wiele, ale to aż nadto, jak na nerwy jednego pokolenia.

Historja ma swe paradoksy i lubi stroić ironiczne grymasy do tych, co chcą zbyt generalnie rozwiązywać ludzkie sprawy. Żałosne to widowisko, gdy po kilkunastu latach polityka europejska wraca do swego punktu wyjścia.

Co stąd wynika?

Stosunki środkowo-wschodnio-europejskie oczekują na właściwe zaspokojenie. Sytuacja tej części Europy nie jest ustalona o tyle, że kraje nowopowstałe lub rozszerzone po wojnie nie czują się bezpiecznie w kleszczach politycznej i gospodarczej ekspansji Niemiec i Rosji.

Wyczuwa się więc potrzebę wysunięcia jakiejś zdrowej koncepcji, która mogłaby powiązać tę część Europy w jedną całość polityczno-gospodarczą.

Myśl tego rodzaju wysuwa właśnie redakcja „Naszej Przysłości" w postaci bloku dziewięciu państw: Łotwy, Estonji, Litwy, Polski, Rumunji, Węgier, Czechosłowacji, Jugosławji i Bułgarji.

Chodzi tu o pewną formę przymierza polityczno-militarnego, a także i kollaboracji gospodarczej. Ta ostatnia część ma już właściwie swe procedensy w postaci bloku agrarnego, który okazał się pomysłem zdrowym, odpowiadającym żywotnym interesom omawianych państw.

Blok wschodnio-centrowy, obejmując blisko 100 miljonów ludzi, byłby wzajemną asekuracją dla jego członków, wzmocniłby ich prestiż, jako całość, wobec groźnych sąsiadów, a także wobec mocarstw, które bawią się interesami wschodnio-europejskimi i naddunajskimi w tenisa dyplomatycznego, ułatwiałby zaopatrzenie w kredyty i t. p.

Koncepcja, wysunięta przez „Naszą Przyszłość", nie jest megalomańską, trzyma się granic i potrzeb rzeczywistości i choć na jej drodze jest wiele trudności i to wcale poważnych, ale nie mniej raczej przezwyciężalnych. Nawet gdyby ta kollaboracja nie przybrała zbyt konkretnych organizacyjnie kształtów, już jako pewna idea, ma wartość orjentacyjną i kierunkową w tak płynnej dziś europejskiej polityce.

Płynnej dlatego, że nie opartej na doświadczeniu historycznem, ba, działającej nieraz wbrew jego wskazaniom.

Koncepcja bloku wschodniego nawiązuje do najpiękniejszej epoki polskich dziejów, do tradycji jagiellońskich, kiedy to Polska była ośrodkiem Wschodu europejskiego, gwarantką jego bezpieczeństwa i kiedy obejmowała wpływami dynastycznymi liczne państwa, dziś właśnie wymieniane na członków bloku. Koncepcja ta ma pewne zalety, które są jednocześnie jej wadami.

Oczywista jest rzecz, że idea bloku, jako szersza, wiąże się z likwidacją istniejącej obecnie Małej Ententy, stanowiącej wyraz zbyt bezwzględnego stosowania hasła detruisez l'Autriche. Nie znaczy to, że dążeniem ma być przywrócenie Astro-Węgier. Wręcz przeciwnie, wprowadzając do bloku Węgry, a odcinając Austrję, petryfikujemy raz na zawsze obecny stan rzeczy, uzyskany przez traktaty pokojowe.

I to jest jej zaleta, a także i wada.

Wynika ona z założenia, że Austrję nie minie Anschluss z Niemcami. Można nań nawet zezwolić, choćby za indultem, jednak w tymże momencie powinien powstać blok wschodni. 66 miljonom wzmocnionych Niemców chcemy przeciwstawić 100 milj. członków bloku. Wprowadzając zaś do bloku Węgry i stępiając ostrze, wymierzone przeciw nim Małej Ententy, dajemy temu nieszczęsnemu krajowi widoki dalszej egzystencji i słusznej rekompensaty jego strat.

Drugą zaletą i wadą koncepcji bloku jest, że wprowadza on do swego grona Bułgarję. Jak wiemy, projekt francuski wykluczał Bułgarję z unji naddunajskiej. Znaną jest wszystkim rola Bułgarji w ostatniej wojnie światowej. To też francuskie załatwienie mogło w tym wypadku ucieszyć jedynie Berlin. Przygarniając Bułgarję, blok powiększa bezpieczeństwo swej całości, której zawsze grozić może niemiecki atak okrężny z południa.

Trzecią zaletą i wadą bloku jest, że wlicza on do swego składu Litwę. Polska ma z nią stosunki napięte. Jest to owoc intrygi obcej. Lecz stosunki te mają swą wymowną analogję dziejową. Przecież Witold, brat Jagiełły, także kumał się z Krzyżakami przeciw interesom swej własnej ojczyzny, a z groźbą dla Polski. Lecz potem przyszły inne czasy, doszło do prawdziwej entente cordiale polsko-litewskiej i Witold był jednym z tych, którzy gromem swego miecza dokonali zwycięstwa pod Grunwaldem. Na obrazie

Matejki wypełnia on nawet centrum kompozycji, jest on w wizji mistrza duszą walki. Na jego czole składa pocałunek Nike zwycięska.

Nie będzie w tem przesady zbyt rażącej, jeśli powiem, że od nowej entente cordiale Polski z Litwą zależą w niemałym stopniu losy naszej walki z Niemcami. W chwili, gdy w Gdańsku sadowi się Hitler — warto się zastanowić nad zdobyciem sprzymierzeńca w Litwie. Wchodzi tu także w grę interes Europy.

Niech nikt nam potem przed sądem historji nie zarzuci, że mieliśmy mniej zmysłu politycznego od naszych pradziadów z przed pięciu wieków.

Powrót do koncepcji Patrimonium Jagiellonum ma dla naszej dojutrkującej polityki znaczenie orjentacyjne pierwszorzędnej wagi.

W całości swej koncepcja bloku wschodniego, przy uwzględnieniu rachunku prawdopodobnych przeszkód, ma wiele realności, a rola, jaką w niej odegrać chce Polska, nie ściągnie na nas zarzutu megalomaństwa. Mamy dla tej koncepcji legitymację dziejową, sięgającą Grunwaldu i unji lubelskiej.

Józef Czarnecki.

LIST OTWARTY DO POLSKIEGO KONSERWATYSTY.

(ODPOWIEDŹ).

Na „List otwarty do ukraińskiego konserwatysty“, zamieszczony w listopadowym numerze zeszłorocznym „Naszej Przyszłości“, odpowiedział hr. Adam de Montrésor, zięć znanego z końca wojny światowej Hetmana Ukrainy Skoropadzkiego, podobnym Listem otwartym, zamieszczonym w czasopiśmie „Chliborobskyj Szlach“ z lutego r. b. Hr. de Montrésor reprezentuje kierunek konserwatywno-ukraiński o odcieniu głównie zakordonowem (naddnieprzańskiem), chociaż traktuje w tym Liście sprawę ukraińską w całości.

Otrzymaliśmy niedawno polskie tłomaczenie tej odpowiedzi, skierowane bezpośrednio do rąk p. Ludgarda hr. Grocholskiego, redaktora „Herolda“, który uważał za właściwe przesłać nam je łaskawie do dyspozycji. Dziękując mu najuprzejmiej na tem miejscu za tę grzeczność i zarazem danie nam sposobności zamieszczenia wybitnego w każdym razie dokumentu w sprawie, przez pismo nasze prowadzonej, zamieszczamy poniżej tę Odpowiedź konserwatysty ukraińskiego w całości, jako rzecz otwartą dla dyskusji, wstrzymując się od wszelkich komentarzy, za wyjątkiem paru krótkich, faktycznych sprostowań pod tekstem oraz jednej zasadniczej uwagi końcowej, stwierdzającej ogólne nasze stanowisko w sprawie konserwatyzmu.

W odpowiedzi na list Twój, konserwatysto polski, w odpowiedzi na wyciągniętą dłoń Twoją i ja — konserwatysta ukraiński — dłoń moją ku Tobie wyciągam. Lecz,

aby nie zawisły one, te dłonie nasze, w powietrzu, aby do uścisku pomiędzy niemi doszło, sądzę, że im jaśniej wygarniemy wszystko, co ostatnie dziesięciolecia w duszach naszych nagromadziły, z tem większą będzie to korzyścią dla nas obu i dla sprawy, o którą przecież nadewszystko chodzi. Aby osiągnąć możliwość porozumienia, musimy my, konserwatyści obu narodów, przedewszystkiem w dotychczasowych nastawieniach naszych przewrotu dokonać. Musimy, wobec pożałowania godnego dotychczasowego stosunków polsko-ukraińskich zabagnienia, wszelkie uprzedzenia pogrzebać, uzbroić się w dobrą wolę i iść ku sobie w niezłomnem przeświadczeniu, iż rzeczy, które łączyć nas winny, mocniejszemi są od rzeczy, które dziś jeszcze nas dzielą.

Dla ominięcia „przeciwności dnia“ niezbędnem jest wytknięcie z oddali widocznych celów, niezbędną jest wielka linja, będąca niejako ponad przeciwnościami temi przerzuconym pomostem. O ileby jej być nie miało, to cały nasz wysiłek i cała dobra wola nasza utkną na martwym punkcie, pójdą na marne, potknąwszy się właśnie o te „dnia przeciwności“...

Przy tem zastrzeżeniu, wskazane przez Ciebie podstawy naszej współpracy zupełnie poglądom moim odpowiadają. A więc: religja, rodzina, prawo własności prywatnej i trzeźwa polityka realna. O ile pierwsze trzy jasne są same przez się, o tyle wskazania czwartej wykrystalizować się mogą dopiero w trakcie ewentualnej dyskusji naszej, bowiem jasnemi bynajmniej nie są, a zwłaszcza każdy z nas może się ich w czem innem dopatrywać.

Ceniąc Twe szczere serce i trzeźwy rozsądek, przystąpię teraz, za łaskawem Twem zezwoleniem, do przeglądu źródeł, z których dążenia nasze wypływają, w mniemaniu, iż jest to niezbędnem dla jasnego uświadomienia sobie wzajemnego naszego oblicza, naszych dążeń i aspiracji, a nie mniej niezbędnem i ważnem dlatego, byśmy jasno

zdali sobie sprawę, co właściwie — jako konserwatyści — konserwować mamy, z czem walczyć musimy i jakie wartości równie cennemi dla nas obu będą. Inaczej: co łączyć, a co dzielić nas będzie. Fałszywem, w mojem mniemaniu, byłoby założenie, gdybyśmy się starali pierwsze uwypuklić, a drugie zatuszować. Zemściłoby się to w dalszej lub bliższej przyszłości na naszej sprawie i do nieporozumienia niezawodnego by doprowadziło. Natomiast jednakowe obu kategorji uwypuklenie wskaże, iż trzeźwo na rzeczy patrzymy i dowiedzie zarówno szczerości intencji, jak i chęci wytknięcia wspólnej dla nas obu drogi.

Pocznijmy od genezy ideologji naszych. Piszesz w Swym liście o tem, jak i w jakich warunkach, przy jakiem nastawieniu społeczeństwa Twojego ujrzałeś, konserwatysto polski, światło dzienne. Wskazujesz nam, Ukraińcom, na to, jako na przykład niejako do naśladowania. Zapominasz o jednej, towarzyszącej Twym narodzinom okoliczności. Padczas, gdy Ty rodziłeś się, że się tak wyrażę: „sub auspiciis Imperatoris", to narodziny obozu naszego byłyby nie do pomyślenia w warunkach współczesnych — „sub auspiciis Reipublicae"... Inny bowiem, ale to całkiem inny, był stosunek Austrji do Polaków i ich politycznego życia, a inny, całkiem inny, jest stosunek Polski do Ukraińców i ich życia politycznego. Analogję musiałbym tu uważać za chybioną i nierealną, tembardziej, że od dnia narodzin Twoich dużo upłynęło wody i dużo zaszło zmian zarówno historycznej, politycznej, jak szczególnie psychicznej w społeczeństwach naszych natury. Chyba słuszności słów tych nie zaprzeczysz.

Zwracasz się do mnie, jako do konserwatysty z Rusi Czerwonej. Równocześnie wszakże, poświęcając ustęp listu Twojego Chmielnickiemu i jego polityce, dotykasz zagadnienia ukraińskiego w szerszym zakresie. Za to mogę Ci być jeno wdzięczny, gdyż pozwala mi to i ułatwia ujęcie sprawy w całej pełni jej zakresu i w dziejowej perspek-

tywie, bez ograniczania się do uszczuplania jej, przy traktowaniu wyłącznie w zakresie dzielnicowym.

Naczelnem wskazaniem polityki ukraińskiej konserwatywnej jest i być musi niepodległość Ukrainy. Wszak idei niepodległości Polski i Ty, konserwatysto polski, nigdy się nie wyrzekłeś. Sformułuję to wyraźnie: organizm państwowy swój własny usamoistnić tak, by go sąsiednie organizmy państwowe nie wchłonęły. Tak właśnie rozumiał to Chmielnicki i, zawierając z Moskwą ugodę Perejasławską, która bynajmniej przyłączeniem Ukrainy do Moskwy nie była, jeno pewnego rodzaju protektoratem cara moskiewskiego, rozciągniętym nad Ukrainą, to wskazanie, a nie fuzję Ukrainy z Moskwą — jak mu to historycy niektórzy przypisują — realizował, z carem zaś traktował jako równy z równym. Że zamierzenia Hetmana po jego śmierci wypaczone zostały i że uścisk Moskwy coraz bardziej się dookoła Ukrainy zacieśniał, aż wreście ją zdławił — w tem nasza, Ukraińców, przedewszystkiem wina. Wina w rozprzężeniu i ambicjach nieokiełzanych ówczesnych przywódców — starszyzny wojskowej, kozackiej. Gdyby się bowiem ci przywódcy byli ukorzyli przed wolą umierającego Hetmana, gdyby ambicje swe podporządkowali byli jego woli, utrzymując personifikację państwa w jego rodzie, murem stając przy nim na straży przed wszelkimi wywrotowymi zakusami — a tem samem k o n s e r w u j ą c osiągnięte państwowo-twórcze zdobycze — nie straszną by się była okazała dla Ukrainy Moskwa... I to było Ziemi mojej odwieczną i nieprzerwaną tragedją i przekleństwem: brak nietykalnego autorytetu, brak wspólnego dla wszystkich, nadklasowego majestatu. Brak punktu centralnego, dookoła którego krystalizować by się mogły i o który opierać siły twórcze narodu, podczas krystalizacji tej procesu zachowawczemi się stając. Brak ten fatalny zapędził je w błędne koło miotania się i szukania coraz to nowych, „lepszych“ przywódców, a czynnikom

zewnętrznym otwierał nieograniczone możliwości wpływania na bieg spraw wewnętrznych Ukrainy.

„Start“ zatem polityki Chmielnickiego był startem męża stanu, liczącego się z ówczesnym faktycznym stanem rzeczy, dążącego do niepodległości państwowej i mającego dalekosiężne plany polityczne, w równej mierze polityki wewnętrznej, jak i zewnętrznej Ukrainy dotyczące. Śmierć Hetmana atoli rozwój ich powstrzymała. Z chwilą, gdy nie stało Chmielnickiego, z chwilą upadku przez niego stworzonej Ukraińskiej Dzierżawy, szybko nastąpił i rozwinął się w Ukrainie proces denacjonalizacji warstwy posiadającej, szlacheckiej i wojskowej, z natury swej zachowawczej. Konserwatyzm na Rusi — Ukrainie nie zdołał się wówczas utrzymać i rozwinąć w formach i kształtach rodzimych. Nie utrzymawszy przy życiu rodzimego ośrodka wewnętrznej krystalizacji i konsolidacji — dynastji Hetmańskiej — a tem samem rozwarłszy na oścież wrota anarchji we wszelkich jej przejawach, ukraińska warstwa zachowawcza, w imię samoochrony, szukać musiała oparcia u warstw zachowawczych i rządów Polski i Moskwy, sąsiadujących z Ukrainą. Z natury rzeczy Lewobrzeże ciążyło ku Moskwie, podczas gdy Prawobrzeże ku Polsce się zwracało. Im wyżej hydra anarchji głowy swe podnosiła — tem intenzywniej zachowawcze elementy w pokrewnych im społecznie, lecz narodowościowo obcych sąsiednich obozach się chroniły. Kadłub pozostał bez głowy...

Dwie jeszcze chwile dziejowe wielkich możliwości nosiły w sobie zarodki. Pierwsza, to Hadziacz — Wielkie Księstwo Ruskie. Nowe swary przywódców, brak z naszej strony zrozumienia, że tylko zjednoczenie ich i stanie przy Hetmanie mogło nową kartę dziejową odwrócić. Ze strony Waszej — brak zrozumienia wspomnianych możliwości, niedociągnięta, a skrzywiona linja. Dzieło runęło.

Druga chwila — to rok 1918. Hetmańszczyzna, podźwignięta na barkach tej samej zachowawczej, aczkolwiek

już w swej większości przygniatająco zdenacjonalizowanej warstwy. Jednakże głos krwi i z e w z i e m i zwyciężyły. Tradycję odrodzono. A wina i grzech w tem, żeśmy swojej własnej anarchji dali to dzieło nasze z rąk sobie wyrwać, zdeptać i zniszczyć...

Te trzy główne etapy — to szkoła nasza. Z niej wyszliśmy. Chyba dość doświadczenia i — nauki dosyć!

Powiadasz, konserwatysto polski, iż początki ekspansji polskiej na Ukrainie były zarazem początkami upadku Waszego i że były one przyczyną naporu na Was potężnego wroga moskiewskiego. Powiadasz również, że Polska potrzebuje Ukrainy, a Ukraina silnej Polski, że tylko Polska może nam skutecznie dopomoc... Na powyższe trzy tezy pozwól, iż jednocześnie odpowiem, gdyż leżą one wszystkie trzy w tej samej płaszczyźnie i, co ważniejsza, ściśle się łączą.

Zaiste, nauka wypływająca z pierwszej tezy, wydaje mi się prostą: ekspansji, co tak na Was się srodze pomściła, w przyszłości uniknąć. Zresztą, w formach, znanych nam z historji ubiegłych stuleci, byłaby ona, prawdopodobnie, już niemożliwą. Zdaje mi się, iż sprzeciwu z Twej strony napotkaćbym nie powinien, gdy powiem, że rozpraszanie sił polskich na wschodnich obszarach, Ukrainą objętych, tylko ze szkodą, a nigdy z pożytkiem dla Polski, odbywać się może. Myśl moją w tym względzie formułując, twierdzę, iż gdy dla nas, Ukraińców, powstanie silnego państwa naszego jest sprawą życia lub śmierci, to i dla Was jest ono wielkiej wagi sprawą. Pytanie zaś siły i mocy tego państwa jest w pierwszej mierze zależnem od jego u s t r o j u, od tych elementów, na jakich opartem ono będzie. I tu chyba dwóch zdań być nie może: tylko ustrój klasokratyczny, oparty przedewszystkiem o klasę wytwórców rolnych, może Ukrainie moc zapewnić. Czy bowiem wystawiasz sobie, konserwatysto polski, c z e m byłoby państwo ukraińskie o ustroju demokratycznym, np. repu-

bliki ludowej?.. I jakiem niebezpieczeństwem zagrażałoby Polsce, o którąby opartem być miało?.. Republika ukraińska, w której łonie odbywałyby się nieustanne walki partyjne i przegrupowania demokratyczne, przy słabem jeszcze uświadomieniu masy etnograficznej i braku jednolitości wyższej warstwy inteligencji, którą zgrubsza można na trzy odłamy — ukraiński, polski i rosyjski — podzielić, stałaby się areną nieustannego wrzenia oddzielnych ghett narodowych i wzajemnego ich wyniszczania.

Powstanie demokratycznego, zatem słabego w istocie swojej państwa ukraińskiego, opartego o Polskę, byłoby przedewszystkiem źródłem stałego niebezpieczeństwa dla Polski, zmuszonej wspierać i ratować to państwo przed zachłannością i niebezpieczeństwem moskiewskiem, tem samem na głowę polską to niebezpieczeństwo ściągając. Chyba nie o to Ci chodzi!

Przy państwowo-terytorjalnem ujęciu rozwiązania naszego niepodległościowego zagadnienia elementem niezmiernie dla nas cennym, zarówno w kulturalnem, jak też i państwowo-twórczem rozumieniu, jest ten element, który Wy „kresowcami“, my Ukraińcami o kulturze zachodniej, polskiej, nazywamy. I sądzę, iż udział ich w życiu państwowem Ukrainy byłby i z Waszą i z naszą połączony korzyścią. Wynaradawiać nikt z nas ich nie pragnie i nie zamierza: jedynie, czego żądać od nich możemy i musimy, to lojalności w stosunku do państwa, którego pełnoprawnymi obywatelami będą. Na tej samej zasadzie może być opartą i przyszła ekspansja elementu polskiego w Ukrainie. Czy nie jest słusznem takie rozwiązanie tej sprawy, podobne zresztą do rozwiązania stosunku wzajemnego pomiędzy macierzystą Anglją, a jej wychodźtwa tworem — Stanami Zjednoczonymi?

Nie przesądzając tu stosunku, jaki w przyszłości Polskę z Ukrainą łączyć może, uważałbym wszelkie bliższe formy tego współżycia za trwałe tylko wtedy, gdy będą

one celem i etapem końcowym, nie zaś punktem wyjścia sine qua non, poniekąd przez silniejszego słabszemu narzuconym. Zresztą i wartość ich moralna — bo wierzę, że sprawy moralne w polityce są główną podstawą jej trwałości — całkiem inaczej przedstawiać się będzie, gdy społeczeństwa nasze mówić będą ze sobą jako równi z równymi. A czy — przy istnieniu obecnego stanu rzeczy — jest to możliwem, gdy społeczeństwo polskie jest w częściach składowych organizmu swego rozwiniętem normalnie, może nawet w niektórych i wybujałem, ukraińskie zaś — bez wstydu fałszywego to przyznaję, gdyż warunki dziejowe na to się złożyły — jest społeczeństwem kadłubowem, pozbawionem w niektórych swych członkach pełni władzy, ponieważ atrofją dotknięte zostały, a rozwój dostateczny ich odrodzenia jeszcze nie nastąpił?!

Pozostawiając wszystko powyższe, jako naczelne wskazania i maksymalne dążenia, przechodzę do tych refleksji ogólnej natury — które wszakże niezbędnemi mi się wydały, abyś mógł się wczuć w nastawienie moje psychiczne — do bliżej i konkretniej interesującej nas dziedziny i tu liczyć się będę przedewszystkiem z rzeczywistością, taką, jaką ona jest przy realnie istniejącym stanie rzeczy.

Powiadasz zatem, iż dzisiejsza Ruś Czerwona nie jest zaprawdę żadnym krajem ukraińskim, lecz dzielnicą państwa polskiego... Nie przeczę, iż Ruś Czerwona w granicach państwa polskiego dzisiaj się znalazła, nie przeczę również, że historja ubiegłych stuleci i Nemesis dziejowa bliżej ją z Polską zespoliły, aniżeli to miało miejsce z innemi połaciami ziemi ruskiej. Tak, to niezaprzeczalną jest prawdą. Ale prawdą jest również, iż Ruś Czerwona — jak nazwa jej zresztą wskazuje — jest ziemią ruską, zatem, używając potocznej terminologji politycznej dni dzisiejszych — ukraińską. By przy pewnych słowach, a w danym wypadku przy słowie „okupacja“, nie obstawać, powiem, iż Ruś Czerwona została przez Polskę prawem miecza zdobytą. I tu nasuwa mi się pewna — dość zresztą

pełna, jak mi się zdaje, nawet co do epoki — analogja: pomiędzy Rusią Czerwoną a Śląskiem, pomiędzy Polską a Niemcami. Czy nie uderza ona Ciebie? Wszakże Kazimierz Wielki, tracąc Śląsk, zyskał Ruś Czerwoną... I cóżbyś powiedział Ty, gdyby Ci Niemiec zaprzeczył rdzennej Śląska polskości, Śląska, jako ziemi?.. Nie żądaj więc odemnie, bym się przynależności Rusi Czerwonej do obszaru geopolitycznego i etnograficznego całości mojej ojcowizny zrzekał *).

Jako punkt wyjścia weźmy stan obecny i liczmy się z rzeczywistością, z tem, co jest—zarówno pod względem procentowego ustosunkowania wzajemnego obu zamieszkujących ten kraj ludności, jak i obu ich niezaprzeczalnego do niego patrjotycznego przywiązania.

To właśnie przywiązanie patrjotyczne, przywiązanie do ziemi, którą zamieszkują, a nie co innego, może i musi być wspólną płaszczyzną, w której rozwinie się współżycie obu narodowych odłamów na ziemi Halickiej. Niesłychanie ważną sprawą, na którą uwagę Twoją zwrócić pragnę, konserwatysto polski, jest, by się na ziemi tej nie wytwarzały dwa równoległe życia — ukraińskie i polskie — lecz, by życie było jedno, wspólne, — aby było ono współżyciem. Inaczej nie uniknie się, przy najlepszych nawet chęciach, kolizji pomiędzy temi życiami, o ile odrębnemi pozostaćby miały.

Ujęcie sprawy w płaszczyźnie terytorjalnej jest jedynie wskazanem i tego ujęcia nic zamienić nie zdoła. Najrealniejszą, a zatem i najważniejszą podstawą współżycia tego jest dziedzina ekonomiczna. O ile pod kątem widzenia terytorjalizmu zagadnienia jej

---

*) Żaden realnie myślący Polak nie może dzisiaj podnosić jakiejkolwiek pretensji do faktycznie już od pięciu wieków kompletnie zniemczonego Śląska środkowego i dolnego! (Przyp. Red.).

rozwiązywać, to uniknie się wielu bardzo punktów tarcia, nieuniknionych przy każdem innem sprawy ujmowaniu.

Ogromną — ba, nawet pierwszorzędną rolę odegraćby musiały wspólne organizacje klasowe*), poczynając, ma się rozumieć, od organizacji klasowej wytwórców rolnych, pojmując pod tą nazwą zarówno włościaństwo, jak i t. zw. ziemiaństwo, jak i wszystkich, mających bezpośredni z wytwórczością rolną związek. A dalej — organizacje klasowe: robotnicza, przemysłowców, inteligencji zawodowej i t. p. Wierzaj mi, iż tylko w płaszczyźnie powyższej, jaka z natury rzeczy odsunęłaby na plan dalszy i nierealny tarcia, wynikające z różnicy narodowościowej, łącząc natomiast i grupując ludzi, bez różnicy wiary i narodowości, na podstawie wspólnych interesów reprezentowanej przez nich wytwórczości — tylko w płaszczyźnie powyższej możliwem jest osiągnięcie zgodnego współżycia i współpracy w imię przywiązania patrjotycznego do ziemi, jednakowo wszystkim, od wieków na niej osiadłym, drogiej.

Zważyć zechciej, że osobliwie na Rusi Czerwonej niezmiernie trudnem, jeśli wogóle możliwem, jest przeprowadzenie linji demarkacyjnej pomiędzy Waszym a naszym duchowym stanem posiadania i kulturą... Są one tak splecione i ściśle współzależne, tyle u źródeł ich leży wspólnych cech terytorjalnych i rasowej wspólnoty, iż — wyeliminowawszy różnicę dążeń politycznych i różnicę językową — przychodzi się do przekonania, że niema głębszych przyczyn psychicznych, któreby miejscowych Polaków od miejscowych Ukraińców dzieliły. Jeśli więc dwujęzyczność, jako zasadę, dla tego kraju przyjmiemy, a obopólne uczu-

*) Sądzimy, że pod wyrażeniem „klasowy" rozumie autor raczej „zawodowy", bo wszelkiemu podziałowi klasowemu stanowczo się sprzeciwiamy. Konserwatyzm nie uznaje podziału społeczeństwa na klasy, jak to robią socjaliści, ale tylko na sfery zawodowe. (Przyp. Red.).

cie patrjotyzmu i przywiązania do ziemi, dla obu nich wspólnej, skierujemy, w imię dobra tej ziemi, w łożysko wspólne rozwoju sił jej twórczych, to bodaj że czas, ten wszechpotężny i jedyny lekarz, oba spienione potoki w nurt spokojny zamieni.

Bo zasadniczą pomyłką i największem złem, jakie Ty i ja popełnićbyśmy mogli, to ujmowanie sprawy stosunków naszych na ziemiach ruskich pod kątem n a r o d o w o-ś c i o w y m. Na tej drodze nie widzę nic innego, prócz dalszego pogłębiania i zaogniania tego wszystkiego, co nas dzieli; z iskier, których tyle jest między nami tlejących, niepostrzeżenie całkiem może pożoga — jedna jeszcze — wybuchnąć. Zadaniem naszem jest wyprowadzenie zarówno sprawy Twojej, jak i sprawy mojej, z g h e t t a, w którem się one znalazły. Gdy się to stanie, chcę wierzyć, iż pozostanie już tylko s p r a w a n a s z a. Lecz, aby się to stało — powtarzam z całym naciskiem, na jaki mnie stać tylko — idźmy do celu drogą k r a j o w o ś c i, t e r y-t o r j a l i z m u i wspólnego do tej samej ziemi p a t r j o-t y c z n e g o p r z y w i ą z a n i a.

Podniosłeś, jako postulat konkretny, życzenie, by Ukraina oderwała się od wschodniej kultury, zarzucając wschodni kalendarz, wschodni styl architektury, a zwłaszcza wschodni, słowiański alfabet. Na to Ci odpowiem — a chyba, jako konserwatysta, po głębszem zastanowieniu rację mi przyznasz — że styl architektury na skinienie różdżki czarodziejskiej się nie wytwarza i że jest on wytworem pewnej tradycji — (któż lepiej od Ciebie to pojmie?) — organicznie z rozwojem narodu i kultury jego związanym, a zarazem tej tradycji świadectwem. Ze światem rosyjskim w żaden sposób asymilować nas nie może, gdyż architektura Rusi Kijowskiej i Rusi Halickiej różni się zasadniczo od architektury rosyjskiej, moskiewskiej, gdzie wpływ Moskwy panuje. Do decydowania w sprawie zmiany kalendarza uważałbym za powołane w pierwszej mierze duchowieństwo, a za szkodliwą ingerencję świeckich

czynników. Pozostaje kwestja alfabetu słowiańskiego. Gdy używa go wielomiljonowy naród ukraiński, zamiana jego na łaciński nie jest tak prostą, jakby się nią wydawać mogła. Na taką reformę nie może się ważyć naród, dotąd bezpaństwowy. Zresztą, różnica alfabetu nie jest nieprzebytą dla zachodniej kultury tamą. Nie tamuje ona również poznania zdobyczy ukraińskiej nauki i literatury zainteresowanemu w ich poznaniu Zachodowi. Otóż — cui bono? Czyżby dla tych, którzyby nigdy podobnych życzeń pod adresem np. Rosji nie sformułowali?..

Pomnieć racz, konserwatysto polski, że Ukraina — jej kultura i psyche — leży na skrzyżowaniu dróg, z których jedne do Rzymu, drugie do Bizancjum prowadziły. Rozwój ducha — to synteza tych dwóch pierwiastków, a o ile utrzymanie równowagi pomiędzy nimi jest tej kultury rozwoju przyrodzonego wskazaniem, o tyle sztucznie wywołana atrofja pewnych jej części składowych równowagi tej zachwianie niewątpliwie spowodować może. Wszelka sztuczność w tej dziedzinie wypaczyłaby linję rozwoju, przez dziejowe przeznaczenie wytkniętą.

I jeszcze: niechaj w sporach bratnich i waśniach domowych nie będzie pośrednictwa czynników trzecich. Niechaj strony szukają porozumienia bezpośredniego. Niechaj nie wygrywają atutów możności oparcia się o te czynniki, jakimiby one nie były, pomnąc, iż każda osoba trzecia w sporze pomiędzy dwoma stać się z łatwością może tym, kogo się zwykło nazywać „tertius gaudens"... Niechaj również wykluczonem zostanie pośrednictwo inteligencji, pracującej zawodowo, z ziemią i z wytwórczą na niej pracą bezpośrednio nie związaną *). Niechaj w pierwszej mierze zawodowo żerujący na polityce do sprawy tej się nie zbliżają!

Nie wątpię, iż obu stronom na ziemi Halicko-Włodzimierskiej patrjotycznego do ziemi rodzimej przywiązania

*) Por. końcowy dopisek Redakcji do tego art.

i miłości wystarczy, by, pychę z serca zrzuciwszy, do siebie przemówić, nie czekając na zagajenie postronne... Im prędzej się to stanie, tem lepiej dla nich, tem lepiej dla nas obu, tem lepiej dla jednako nam drogiej sprawy. Zwłaszcza dzisiaj, gdy wróg zasad naszych wspólnych — Twoich i moich — nie śpi, lecz wszelkich wysiłków dokłada, by szatańskie swe dzieło prowadzić, by społeczeństwo nasze zgangrenować, młodzież zdeprawować, a nas — konserwatystów — razem ze zdobyczami wielowiekowej kultury i z temi społeczeństwami, co nas wydały, zasypać rumowiskami walącego się świata...

Mówisz, konserwatysto polski, o organicznem zainteresowaniu państwa polskiego w powstaniu państwa ukraińskiego. O szczerości t e o r e t y c z n e g o przez Ciebie stawiania tej tezy nie mam przyczyny wątpić. Pragnę Ci wszakże zadać pytanie, jak w wyobraźni Twojej zarysowuje się droga do jej urzeczywistnienia? Bo oto refleksje, jakie mi się w związku z tem twierdzeniem Twojem nasuwają. Przy zainteresowaniu kwestją powstania państwa ukraińskiego musiałaby logicznie Polska dbać o to, by wśród nas, Ukraińców, psychiczne współczucie i nastawienie dla projektowanej współpracy wywołać. To chyba jasne. Natomiast w rzeczywistości widzimy zjawisko wręcz przeciwne, a mianowicie: inną miarą są przez Was mierzone z a m i a r y i p r o j e k t y polityczne, znajdujące się, bądź co bądź, poza sferą osiągalnej dzisiaj możliwości, a całkiem inna miara jest przykładana do zagadnienia tam, gdzie chodzi o politykę dnia dzisiejszego, całkiem realną i zależną od miarodajnych Waszych czynników politycznych... Bo chyba mi nie zaprzeczysz, że polityka owa tych czynników w równej mierze pozbawioną jest planu, jak i konsekwencji. Sprawia ona wrażenie, jakgdyby naczelnem jej hasłem było: „jakoś to będzie“... A jakże wdzięczne pole otwierałoby się przed Polską, gdyby sprawę jasno i po męsku ujęła! Losy dziejów sprawiły, iż w granicach Polski zawarły się ziemie dziedzictwa Roma-

nów i Daniłów Halickich, ziemie nietylko Rusi Czerwonej, lecz i Wołyń prastary... Odrodzenie tej tradycji, napełnienie jej istotną treścią, kreślenie śmiałą ręką planów, przeobrażających przyszły Wschód Europejski na modłę wielkiej Jagiellonów idei — oto wskazania, godne mocarstwa, przodującego na wschodniej rubieży świata łacińskiego, oto hasła i cele, zdolne porwać łopotem swoich sztandarów co młode i zdrowe w społeczeństwach naszych. W deptaku drobnych swarów zagraża młodym pokoleniom skarlenie duchowe... Rzucam tę myśl w przelocie i... w próżnię, gdyż rozumiem, jak daleką jest ona, niestety, od drogi, na której znaleźliśmy się obaj. Współczesność wciska w dłoń miarę krawca, a nie Fidjasza...

Tak oto, konserwatysto polski, rzuciłem garść myśli — trochę niewczesnych — myśli, które list Twój wywołał. Planu konkretnego on nie nakreślał — i mój również go nie zawiera. Stoję raczej na stanowisku obserwatora, pragnącego na ziemi, sercu memu drogiej, normalnego stosunków rozwoju. A tego rozwoju na drodze, a raczej na bezdrożach dotychczasowego przez strony obie sprawy traktowania — mimo wzroku wytężonego — nie widzę i nie dostrzegam... Kierunek, w którym one dążą, zamiast do niego przybliżać — od niego oddala. Rozwój ten pożądany zawiera się w trzeźwej polityce realnej, jak to już powiedziałem. Leży on w składnikach krajowości i terytorjalizmu, przywiązaniem patrjotycznem do ziemi i obustronną lojalnością zcementowanych.

Przy pierwszem spotkaniu naszem może kreślenie planów byłoby przedwczesnem i bezcelowem. Za ważniejsze, na razie, uważam, byśmy się poznali, by się rozwiały możliwe i zresztą naturalne uprzedzenia wzajemne. W tym, a nie w innym celu szerokie koło tu zatoczyłem, abyś te wiersze nietyle przeczytał, lecz i pomiędzy wierszami mnie wyczuł. O to wyczucie Cię proszę. I aby nieporozumienia w zarodku pomiędzy nami nie było — zaznaczam,

iż nie jestem dzielnicowym konserwatystą ukraińskim z Rusi Czerwonej, lecz konserwatystą ukraińskim w pełnem słów tych ujęciu. Jeślim głos zabrał, to dla tego, że konserwatyzm ukraiński — aby być konserwatyzmem — musi, w głąb wieków sięgając i czerpiąc u źródeł historyczno-politycznego Ziemi Ruskiej jestestwa, być wspólnym dla wszystkich dzielnic tej ziemi i że wytyczne jego ideologji jednakie są zarówno dla Rusi — Ukrainy Wielkiej, Naddnieprzańskiej, jak i dla ziemi Halicko-Włodzimierskiej. — Ucrainus sum et nil ucrainense a me alienum puto.

Zaznaczam też, iż nie przychodzę tu, jako przedstawiciel tysięcy lub setek chociażby przyjaciół politycznych... Ludzi, t a k myślących, jest może nie wielu. Ale są. I wierzą. I pracują. Pracują — nie dbając o to, jakie dysonanse i jaką kakofonję tromtadracką zdolne będą dookoła ich pracy w zacietrzewieniu swojem wytworzyć, zarówno Tobie, jak i mnie, aż nadto dobrze znane „bezkrytyczne chóry".

Niechaj Ci to na razie wystarczy i niechaj słowa „contra spem etiam sperare" w zastosowaniu do nas obu wykażą głębię zawartej w nich treści...

Konserwatysta ukraiński.

Szanowny autor artykułu różni się z nami nieco w pojęciach o konserwatyźmie, przynajmniej w zakresie praktycznym, a może tylko w odniesieniu do specyficznych warunków sprawy ukraińskiej. Opiera bowiem rolę konserwatyzmu ukraińskiego i polsko-ukraińskiego (który nazywa „kresowym") wyłącznie tylko na warstwie rolniczej, odrzucając współdziałanie innych sfer zawodowych.

Na taki pogląd zgodzić się nie możemy ze względu na ewolucję stosunków w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Warstwa ziemiańska nie jest dziś już bynajmniej jedynym czyn-

nikiem zachowawczym i jedyną podstawą konserwatyzmu. Tak pojęty konserwatyzm trąci mimowoli dawnym ustrojem stanowym i „feudalizmem“, od którego stanowczo się odcinamy, jako od pojęcia dawno przeżytego i dającego mimowoli żer doktrynie walki klasowej, propagowanej przez stronnictwa socjalistyczne i radykalne.

My, konserwatyści polscy XX-go wieku, uznajemy tylko konserwatyzm zasadniczy, wszechstanowy, opierający się nie na jakiejkolwiek poszczególnej warstwie stanowej czy zawodowej, ale na wszystkich, umiarkowanie i objektywnie myślących jednostkach w społeczeństwie, których intelekt i mentalność są dostępne dla zachowawczego t. j. konstruktywnego, na zasadach religji i „zdrowego rozsądku“ opartego sposobu myślenia i działania. A codzienne doświadczenie wykazuje, że z jednej strony wielu przedstawicieli sfer rolniczych nie jest zdolnych wznieść się do takiego światopoglądu, z drugiej zaś, że światopogląd ten znajduje właśnie bardzo licznych zwolenników w różnych innych sferach zawodowych, zwłaszcza naukowych, przemysłowych i t. d.

A już w żadnym razie konserwatyzm jednostronnie rolniczy — powiedzmy wprost: szlachecki — nie może i nie będzie mógł w nowoczesnych warunkach ukraińskiego bytu i przyszłości odegrać jakiejś wyłącznej, czy specjalnej roli. To chyba bezsporne! Może ewentualnie współdziałać, jako jeden z czynników, w ogólnych ramach konserwatyzmu wszechstanowego, ale żadną miarą nie powinien dążyć obecnie, na emigracji, do konsolidowania się w jakąś ekskluzywną „klasę“ szlachecko-rolniczą, gdyż w ten sposób znajdzie się zgóry w przeciwieństwie do całej olbrzymiej reszty społeczeństwa ukraińskiego i przez to właśnie rola tak jednostronnie pojętego konserwatyzmu będzie w razie możliwości odbudowy państwowości ukraińskiej stanowczo przekreślona.

Redakcja.

PRAWO DO MORZA.

W międzynarodowej dyskusji, podtrzymywanej bezustannie przez Niemcy na temat naszego prawa bezpośredniego dostępu do morza, padają z różnych stron uasadnienia praw polskich i niemieckich, oscylujące głównie około podstawy historycznej. Są też i wywody, zawierające uzasadnienie gospodarcze.

Dla nas prawo do resztki odwiecznych siedzib jednego ze szczepów, z których powstał naród polski, do szmata ziemi, łączącego resztę kraju z morzem, nie przestawia żadnej kwestji i jeżeli wogóle mamy co na temat obecnie posiadanego kawałka Pomorza do powiedzenia, to najwyżej jedno krótkie słowo: wara! Jeżeli więc kwestja morskich granic Polski może być wogóle poza granicami Polski dyskutuwaną, to chyba jedynie tylko pod kątem rozważań, czy granica ta jest dostatecznie długa, względnie czy mielibyśmy powód, rozpatrując ten dylemat, żądać jej przedłużenia i o ile?

Wedle mego mniemania, zarówno historyczne, jak i gospodarcze uzasadnienie nietylko praw polskich, ale praw każdego, samodzielnie rozwijającego się, a w obrębie pasa nadmorskiego osiadłego narodu, do morza otwartego, jako do drogi, łączącej ten naród ze światem, doprasza się niejako rozważania na tle przyrodzonej przynależności sąsiadujących ze sobą: kraju osiedlenia i — przyległego morza. Pobieżny rzut oka na dzieje ludzkości wskazuje na tę przyrodzoną przynależność, a zarazem wykazuje nieprawidłowości w rozwoju narodów i niejednokrotnie ich upadek, jeżeli w spokojnym trybie osiedlenia nad tą naturalna drogą komunikacyjną, nad morzem, zajdą jakiekolwiek perturbacje. Przegląd dziejowy unaocznia związek, istniejący pomiędzy faktem przetrwania narodowego a faktem dostępu

do otwartego morza i — niejako — zrośnięcia z niem. Choćby dla przykładu należy wskazać na starożytną Helwecję i na starożytną Helladę. Po Helwetach, narodzie górali, którzy odcięci byli od morza przez obcy rasowo element etniczny i których zarówno kultura duchowa, jak i cywilizacja stała na szczeblu niższym, niż rzymska, została już oddawna tylko nazwa i po zmiennej kolei losów ziemię dawnej Helwecji zamieszkuje nawet nie naród, ale tylko pewna terytorjalna społeczność państwowa, nazywająca siebie narodem, który jednak w pojęciu kultury i języka nim nie jest. Na ziemi zaś dawnej Hellady mieszka naród, który zachował swą starożytną nazwę, a rasowo może mniej różni się od swych sławnych przodków, aniżeli językiem, który nietyle naciskiem obcych pierwiastków, ile pod wpływem naturalnego rozwoju uległ dużym zmianom. A przecież Hellenów zawojowywali Macedończycy i Rzymianie. Ciało ulegało, ale duch zwyciężał. Duch kultury helleńskiej przetrwał i nawałę turecką. Kultura najeźdźców Rzymian nad Bosforem uległa nawale najezdniczego tureckiego barbarzyństwa, ale gdyby nie zalew turecki, groziła jej całkowita hellenizacja, gdyż siły rzymskie nie były już dostatecznym przeciwważnikiem wysokiej kultury morskiego narodu heleńskiego. Hellenowie, dawni ludzie morza, żyją nadal jako naród, bronieni przez długą granicę morską od wynarodowienia, wśród pomników swej odwiecznej kultury.

Kultura romańska ostała się natomiast w Rumunji. Tam element romański o wyższej kulturze, niż miejscowa pierwotna, a głównie słowiańska, siedział mocno nad morzem. A choć ten element przybył tam i osiadł w niewielkiej liczbie, choć Rumuni są rasowo mieszanina o przeważającym z pewnością odsetku krwi słowiańskiej, to jednak w walkach z naciskającym z różnych stron wrogiem pierwiastek, zrosły z morzem Czarnem, nieruchomo tam osiadły i przenarodowiony przez naród o wyższej, niż późniejsi najeźdźcy kulturze, przetrwał do dzisiaj.

Te pobieżne rzucone przykłady, wyjęte z dziejów, byłyby zbyt szczupłym materjałem, gdyby wszczęte rozumowanie oparło się wyłącznie na historji i snuło wnioski historycznej natury i ograniczało się jedynie do ilustrowania zagadnienia danemi z minionych dziejów. Nie mogę nie odwoływać się, choćby najpowierzchowniej, do historji, w istocie jednak pragnę uwypuklić pewną widoczna a logiczną zasadę. Zasadą tą jest pewne prawo, które uważam za prawo fizyczne, a które nazwałbym p r a w e m s t a t y k i o s i e d l e n i a, jaką ujawniają narody, będące silnymi dzierżycielami kraju, opartego szeroko o morze otwarte. A przez szerokie oparcie o morze rozumiem pewien geometryczny stosunek pomiędzy długością własnego brzegu morskiego a obszarem zaplecza śródlądowego. Nie zaprzeczają temu prawu znane z dziejów fakta ulegania pewnych nadmorskich narodowych organizmów państwowych przemożnej obcej sile i kulturze, czy też wyłącznie tylko brutalnej, barbarzyńskiej przemocy.

Po koniecznem przeskoczeniu ponad historycznym obrazem mapy politycznej świata, obrazem, który we właściwem ujęciu służyłby niewątpliwie na poparcie wniosków, do których uwypuklenia dążę, wskażę na obecny stan i postaram się ująć zagadnienie w sposób geometryczny i statystyczny, co, jak sądzę, pozwoli mi stworzyć odpowiednie tło do uzasadnień: historycznego i gospodarczego.

Za punkt wyjścia wezmę mapę Europy, jako siedziby najwyższej kultury i najbardziej rozwiniętych zagadnień gospodarczych narodów cywilizowanych. Zaczne od Portugalji, jako jednego z najbardziej na zachód wysuniętych państw morskich. Obszar Portugalji wynosi 89.000 km^2, zaś długość granicy morskiej 845 km. Portugalja liczy 5.621.000 ludności i posiada kolonje o obszarze łącznym 2.699.812 km^2 i o zaludnieniu 9.313.000. Z powyższego wynika, że Portugalja na każdy km^2 powierzchni ma 9 m 45 cm długości wybrzeża morskiego. Na każdy kwadra-

towy kilometr w Portugalji wypada przeszło 30 km² obszaru w kolonjach, zaś na każdych 100 Portugalczyków, zamieszkałych w ojczyźnie, przypada 15 m ojczystego brzegu morskiego i około 165 mieszkańców w koloniach. Dla porównania tych cyfr z Polską zauważmy, że Polska. licząc okrągło 30.000 miljonów mieszkańców, zamieszkałych na obszarze 388 tysięcy km², posiada pomiarowo tylko 146 km (w tem istotnie tylko około 70 km stałego brzegu) granicy morskiej. Na każdy km² obszarzu Polski prypada zatem w tem optymalnem wymierzeniu tylko około 37 cm długości brzegu morskiego, na każdych zaś 100 mieszkańców Polski przypada niespełna pół metra wybrzeża morskiego. W zestawieniu daje to następujący obraz:

	Portugalja	Polska
na 1 km² kraju ojczystego	9 m 45 cm długości wybrzeża ojczystego i 30 km² obszaru kolonjalnego	37 cm wybrzeża morskiego —
na 100 mieszkańców zamieszkałych w ojczyźnie	15 m długości wybrzeża ojczystego 165 mieszkańców kolonjalnych	około 49 cm wybrzeża morskiego

Tak wyglądamy w porównaniu z Portugalją. Nie wszystkim jednak państwom danem było opanować w ciągu wieków ciepłe i bogate kolonje, które pracują dla wzbogacenia swych europejskich metropolji. Przeciw zestawieniu ze sobą tych właśnie krajów może pozatem przemawiać i ta okoliczność, że Portugalja nie przeszła takiej burzy dziejowej, jak Polska, która w porównaniu z Portugalją jest państwem gospodarczo jeszcze świeżem, niejako: na dorobku. Jeżeli właściwszem dla celów porównawczych będzie państwo, leżące w tym samym klimacie i niezbyt pieszczone przez losy, to weźmy dla przykładu państwo morskie: Danję. W porównaniu z Portugalją jest Danja

ubożuchna w kolonje, posiada bowiem, przy swem zaludnieniu 3.435.000 mieszkańców w macierzy, tylko 38.000 mieszkańców w kolonjach t. j. w Grenladji i na wyspach Faröer. Anglja stanowi oczywiście jeszcze jaskrawszy przykład rozwoju potęgi w związku z posiadaniem długich granic morskich, ale dla Anglji prawo statyki osiedlenia wiąże się z zagadnieniem fizycznej izolacji przez brak suchych granic z sąsiadami. Z tego względu Anglja nie jest przykładem typowym dla istoty rzeczy rozważanej i dlatego ją pominę.

Dla wykazania stanowiska kopciuszka, jakie zajmuje Polska w rodzinie narodów pod względem rozwoju gospodarczego, zestawiam obrót zagraniczny szeregu państw europejskich, przyczem, jako wspólny mianownik, przyjmuję z jednej strony długość granicy morskiej, z drugiej zaś zaludnienie państwa. Po wyłączeniu — j. w. — Anglji, po wyłączeniu Rosji, której życie gospodarcze oparte jest na zupełnie nowych, a nie wypróbowanych jeszcze zasadach, po wyłączeniu wreszcie kilku innych państw, których sprowadzenie do „wspólnego mianownika" rozważań wymagałoby pewnych koniecznych poprawek, zestawiam kolejno: Belgję z 65.5 km długości granicy morskiej, Danję z 2.230 km dług. gr. m., Finlandję z 1,646 km, Francję z 2,850 km, Hiszpanję z 3,144 km, Holandję z 400 km, Italję z 8,000 km, Niemcy z 1,733 km, Norwegję z 3,070 km i Szwecję z 2,687 km — z Polską, która posiada tylko 146 km granicy morskiej. Wygląda to następująco (p. tabela na str. 51):

Rozpatrzenie dodatkowe stosunków kolonialnych w odniesieniu do części państw, zamieszczonych w tabeli, po uwzględnieniu koniecznych poprawek dla pozostałych państw, jeszcze bardziej uwypukla wniosek, który się nasuwa. Ale oprócz tego zasadniczego wniosku, który wypływa z faktu, że Polska zajmuje ostatnią kolumne w tabeli, wysnuć z niej można także wnioski pośrednie. I tak: Hiszpanja, mimo idealnych warunków klimatycznych i dłu-

Dane porównawcze	Belgja	Danja	Finlandja	Francja	Hiszpanja	Holandja	Italja	Niemcy	Norwegja	Szwecja	Polska
	Długość granicy morskiej										
na 1 km² powierzchni kraju	2 m 18 cm	51 m 86 cm	4 m 24 cm	5 m 17 cm	6 m 22 cm	11 m 76 cm	25 m 80 cm	3 m 69 cm	9 m 47 cm	6 m —	— 37 cm
na 100 mieszkańców kraju macierzystego	1 m 5 cm	64 m —	49 m —	6 m 98 cm	14 m 74 cm	5 m 31 cm	19 m 72 cm	2 m 75 cm	110 m —	45 m 50 cm	— 49 cm
	Roczna wartość importu										
na 100 mieszkańców kraju macierzystego	99,238 zł.	120,669 zł.	52,303 zł.	45,895 zł.	24,243 zł.	127,939 zł.	25,470 zł.	47,625 zł.	85,514 zł.	69,190 zł.	10,376 zł.
	Roczna wartość eksportu										
na 100 mieszkańców kraju macierzystego	94,857 zł.	107,133 zł.	41,010 zł.	44,080 zł.	17,635 zł.	94,858 zł.	16,806 zł.	41,790 zł.	58,085 zł.	63,719 zł.	9,376 zł.

giej granicy morskiej, ma za ubogi ruch dóbr przez granice, gdyż z wielu znanych względów niedomaga tam organizacja gospodarcza i administracyjna. Mutatis mutandis narzuca się podobna uwaga w odniesieniu do Italji, bezustannie, a głośno brząkającej szablą. W odniesieniu do potężnie rozbudowanych pod względem gospodarczym Niemiec, cyfry obrotów zagranicznych wydać się mogą za niskie. Nie należy jednak zapominać, że Niemcy, ze szkodą dla ducha pokojowego w Europie, pozbawione zostały swych kolonji. Gdyby Niemcy posiadały nadal te akumulatory gospodarcze, to ich obrót wymienny musiałby wyrażać się w odpowiednio większych cyfrach.

Po tych uzupełnieniach nie trudno stwierdzić, że przy analogicznych założeniach w odniesieniu do szeregu krajów, związanych z morzem, dobrobyt ich, ujawniający się w obrotach z zagranicą, jest wyższy w państwach o dłuższej granicy morskiej. W pozornej sprzeczności z tą zasadą, stwierdzoną już nieraz gdzieindziej także w inny sposób, stoją przykłady, jakie przedstawiają państwa wybitnie śródlądowe, a wszczególności Czechosłowacja i Szwajcarja. W odniesieniu do Czechosłowacji wartości importu i eksportu na 100 mieszkańców tego kraju wyrażają się w cyfrach: 37.173 zł. i 41.140 zł., zaś w odniesieniu do Szwajcarji w cyfrach: 117.525 zł. i 93.634 zł. Cyfry te przestają zdumiewać i zaciemniać tok rozumowania, do którego służy powyższa tabela, jeśli zwrócimy uwagę na okoliczność, że:

1) Czechosłowacja, która w spadku po b. monarchji austro-węgierskiej zatrzymała olbrzymią większość bogactwa przemysłowego, jest pod względem gospodarczym tworem kadłubowym, istniejącym dzisiaj, mimo nowego układu stosunków politycznych, w znacznej mierze w symbiozie z rynkami przedwojennego zasięgu gospodarczego, które znajdują się obecnie już przeważnie poza granicami tego państwa. Leżące dawniej w innej orbicie gospodarczej Słowacja i Zakarpacka Ruś, a odgrywające dzisiaj wo-

bec Czech częściowo rolę kolonji, w nieznacznej tylko mierze przetasowały kierunki prężności czeskiego kompleksu gospodarczego. Wskutek powyższych przyczyn obecny obraz położenia gospodarczego przedstawia pewnego rodzaju stan równowagi niestałej, nie mogący też uchybiać zasadzie, powyższą tabelą dowodzonej, ani przeczyć naszym konkluzjom.

2) Szwajcarja, która oparła swoją egzystencję w znacznym stopniu na przemyśle turystycznym, musi być uważaną za takiego monopolistę, któremu żaden kraj sąsiedni jego źródeł dochodu podkopać, ani zdystansować nie może. Z olbrzymich dochodów, przynoszonych przez turystykę cudzoziemców, powstały liczne kosztowne inwestycje, które pozwalają obecnie na tak wielką wymianę, jak to określają powyższe cyfry. Cyfry te wprawdzie wskutek dalszego rozwoju stosunków gospodarczych mogą ulec pewnemu zmniejszeniu, niemniej jednak redukcja ich nie pozbawi Szwajcarji jej uprzywilejowanego stanowiska, które stwarza pozorną sprzeczność w stosunku do zasady, uzmysłowionej w naszem zestawieniu.

Szczegółowa analiza wszystkich innych, pozornie sprzecznych przykładów, dałaby materjały, potwierdzające naszą tezę jeszcze dobitniej. Gdyby Europie danem było przyjść do równowagi stosunków politycznych w kilkudziesięcioletnim rozwoju pokojowym, to w układzie gospodarczym państw zaszłyby w porównaniu ze stanem dzisiejszym znaczne zmiany na drodze ewolucyjnej. Choćby dla przykładu wskazać można na wspomnianą już Czechosłowację, która musi wejść do jakiegoś gospodarczo uzupełniającego ją bloku państwowego. Wejść musi dobrowolnie, jako czynnik politycznie równorzędny, tworzący wraz z dobranymi sobie sąsiadami wspólne, wielkie, politycznie odporne państwo, aby nie być zawojowaną i pokawałkowaną zdobyczą Niemiec i ich ewentualnych sojuszników w zamierzonej przez Niemcy „wojnie niemieckiej".

Może też — o ile zachodnia dyplomacja przejrzy

wreszcie i wojnie takiej zapobiegnie — wejść jako luźny partner do międzynarodowego porozumienia gospodarczego.

Ale temat powyższy, dotyczący dróg rozwojowych, któremi powinny kroczyć państwa, pozostające obecnie w stanie niestałej równowagi gospodarczej, czy politycznej, jest już rzeczą odrębnych rozważań.

Nasze zagadnienie ogranicza się do uzasadnienia — jeśli to bez reszty będzie możliwem — istnienia fizycznego prawa, rządzącego przynależnością odpowiedniej długości wybrzeża morskiego do każdego kompleksu zaplecza śródlądowego. Patrząc na mapę Europy, widzi się szereg logicznych i kilka, z punktu widzenia niezależności gospodarczej i kulturalnej, nielogicznych podziałów wybrzeża morskiego pomiędzy osiadłe w zapleczach narody. O różnicach powyższych decydowała w przebiegu dziejów z jednej strony siła naporu fizycznego, czy ewentualnie kulturalnego, z drugiej często słabość, a czasem i niewybaczalna bierność, mimo posiadanej siły (wynik wojny polsko-krzyżackiej w 1410 r.). Najnielogiczniejszym, a stąd i najbardziej krzywdzącym podziałem wybrzeża morskiego, jest podział wybrzeża niemiecko-polskiego. Doszukiwanie się przyczyn tego stanu doprowadziłoby do początków odpychania przez plemiona germańskie zamieszkałych na wschód od nich Słowian, doprowadziłoby aż do: limen sorabicus, *) wymienianej i określanej przez dziejopisów z czasów Karola Wielkiego. Ta „granica Sorabów - Serbów" przecinała obszar dzisiejszych Niemiec wijącą się linją o zasadniczym kierunku południowo-wschodnim od okolic dzisiejszego Hamburga na zachód od Łaby i dzisiejszej ziemi

---

*) Sorabowie — plemiona słowiańskie, zamieszkałe na północny wschód od państwa Katola W. Zaliczono tu nietylko właściwych Serbów — o różnych nazwach — których resztka żyje w Łużycach, ale i plemiona lechickie, z nimi pomieszane, z których niektóre, jak należy przypuszczać, mieszkały na zachód od średniej i dolnej Odry, nie mówiąc o Ślązanach, którzy bezpośrednio graniczyli z Łużyczanami.

saskiej, oraz odcinała wschodnią część dzisiejszej Bawarji i Austrji powyżej Vindobony. Kończyła się „granica Sorabów“ gdzieś w dzisiejszych dziedzinach południowych Słowian, częściowo będących pod zaborem włoskim *).

Ówczesny zatem podział granicy morskiej w stosunku do zasiedlenia zaplecza śródlądowego nie pozostawiał nic do życzenia i gdyby przodkowie nasi i naszych zachodnich pobratymców wytrzymali byli napór germański, to podział morza pomiędzy nas i nich byłby geometrycznie bardziej uzasadniony. „Drang nach Osten“ odbywał się jednocześnie z romanizowaniem Franków i wyodrębnianiem się zachodnich plemion germańskich, osiadłych w „niskim kraju“. Lawina germańska ogniem i mieczem i trucizną, w otwartym boju i podstępem, niszczyła naszych pobratymców, z których garstka tworzy dzisiaj maleńką już tylko wysepkę łużycką. Południowy klin germański wbijał się na wschód doliną Dunaju i oddzielił południowych Słowian od północnych. Na południu zalał prócz tego większą część ziemi helweckiej, a bardziej na północ rozbijał się i opierał o zachodnie granice czeskie. Gdy tama łużycka (północno-serbska) została przerwana, germańska lawina parła w górę Odry. Na północy napór szedł wzdłuż Bałtyku i tam padały pod mieczami germańskimi plemiona nadmorskie. Padały atakowane od zachodu przez jednych, napadane od strony morza przez drugich. Potem przyszła „misja“ zakonów wzdłuż Bałtyku i penetrowała aż do zatoki fińskiej. Z północy parł napór Skandynawów i pierścień germański nad Bałtykiem zamknął się.

O ile w części, najbardziej na północny zachód wysuniętej, „Drang“ nie zdążył już zmienić charakteru zasiedlenia pobrzeża Bałtyku, to natomiast gruntownie i doszczętnie wyniszczył naszych zachodnich Pomorzan. Może przesadą jest przekonanie, że Niemcy w stu procentach wymor-

---

*) Na zachód od półwyspu istryjskiego.

dowali wszystkich nadłabskich i zaodrzańskich Słowian, w szczególności, że przeczy temu typ czaszki przeważnej części dzisiejszych Niemców, będący obrazem skrzyżowania pomiędzy praniemieckim dolicho-kefalicznym a słowiańskim brahy-kefalicznym; niemniej jednak nietylko brzeg morski, ale i obszar śródlądowy coraz to bardziej zatraca ślady zasiedlenia pierwotnych gospodarzy tych ziem, po których zostały przeważnie już tylko nazwy miejscowości.

O ile wiem, to dotychczasowe badania historyczne nie zdołały jeszcze ustalić bliższych danych, dotyczących zasiedlenia w okresie wieków 6, 7 i 8-go ziem, położonych na wschód od Wisły; nie jest nawet pewnem, czy w tych czasach nazwa Wisły odnosiła się już wyłącznie do dzisiejszej rzeki wraz z jej ujściem w zatoce gdańskiej, czy też Wisłą była w pamięci i pojęciach ówczesnych mieszkańców przyległych krain dolna Odra *). Dzikość i zachłanność Niemców, postępujących przed się ku wschodowi, objawiała się nietylko w tem, że wytępili ludność, którą zastali na szlaku swego pochodu i zabierali jej siedziby, ale zawłaszczali nawet nazwy podbitych ludów (Pomeranier, Preussen). Nie zdążyli nas wytępić w pasie kaszubskim, ale ze Słowińców wschodnio-odrzańskich, których przed wielką wojną liczono w okolicach Kołobrzegu i Słupska je-

---

*) Jest dużo prawdobodobieństwa w domniemaniu, że ową Wisłą, do której miały dosięgać zagony germańskie już w wiekach VI—VIII, by w końcu zająć miejsce pierwotnych mieszkańców słowiańskich, była dolna Odra, której dolny bieg był ongiś dolnym biegiem Wisły, skręcającej poniżej dzisiejszego Torunia, szlakiem dzisiejszego kanału Noteci i Warty do punktu, w którym leży Kostrzyń. Od punktu dzisiejszego połączenia z kanałem ciągnęła już wówczas ku północy odnoga, która, rozszerzając się w miarę czasu, niosła coraz więcej wód wiślanych wprost do zatoki gdańskiej, aż wreszcie, po przerwaniu połączenia z Odrą, sama stała się dolnym biegiem Wisły. Przegrupowanie zlewiska i podział dorzecza, jednoczesny z okresem przerwania połączenia, odbywały się w końcowem swem stadjum jeszcze w okresie zmagań germańsko-słowiańskich na Pomorzu i stąd zapewne powstało pomieszanie pojęć oraz pretensje germańskie do ujścia dzisiejszej Wisły.

szcze na setki, używających w modlitwie swego języka, niezadługo już zapewne śladu nie będzie. Mazurzy w Prusach wschodnich toną pod falą eksterminacyjnej polityki germańskiej. Nadbałtycki klin germański wbija się na wschód, odgradzając dawnych gospodarzy ziem nadbałtyckich od ich brzegu morskiego. Wbija się i prze, aby zniszczyć resztę naszego oparcia o Bałtyk i zawojować je gospodarczo oraz politycznie. Jednocześnie niszczy on odwieczny instynkt samozachowawczy Litwinów i Łotyszów i ich dawne koneksje z Polską, a więc z krajem, o który, jako również zagrożony przez „Drang nach Osten", winni szukać oparcia.

Położenie Bałtyku w stosunku do masywu wschodnio-europejskiego określić należy jako północno-zachodnie. Taki też kierunek miały pasma zasiedlania Germanów i Słowian przed zakłóceniem tego porządku grabieżami germańskiemi i wydzieraniem Słowianom siedzib nadmorskich. Ten, poniekąd geometryczny podział pobrzeża morskiego, odpowiadający blokom zasiedlenia w zapleczach, zniekształcony został zatem przez „Drang nach Osten" i dzisiejsze „kulturalne", „cywilizowane" Niemcy nadal dążą cynicznie i otwarcie do tego, by „ausrotten" nie-Niemców z nad Bałtyku. Przed jakąkolwiek rozprawą o nasze słuszne prawa do pobrzeża winiśmy pamiętać, że zaplecze brzegu morskiego niemiecko-polskiego liczy łącznie (Niemcy 469, Polska 388) — 857 tysięcy km^2 oraz, że brzeg ten jest długi, wedle danych pomiarowych, na (1733—146) 1879 km. Wedle tego obliczenia, na każde 1.000 km^2 niemiecko-polskiego zaplecza przypada 2 km 192 m granicy morskiej; zatem dzisiejszemu obszarowi Polski, jako krajowi, którego położenie pod względem geograficznym jest analogiczne do położenia Niemiec, odpowiada geometrycznie granica morska o długości zwyż 850 km. Jeżeli pomiaru brzegów morskich dokonamy w sposób uproszczony, przez wyrównanie i opuszczenie wszystkiego, co nie stanowi „twardego" wybrzeża, a więc wszystkich wysypisk, wyrw i sztucznie

przedłużających brzeg załamań linji morza, to niemiecki brzeg morski skróci się do około 1.100 km długości, zaś polski brzeg do 70 km (bez półwyspu Helskiego, który jest wysypiskiem piaszczystem). Mierzony w ten sposób łączny brzeg, który ma praktyczne znaczenie, jako d o s t ę p d o m o r z a, miałby 1.170 km. przyczem na każde 1.000 km^2 zaplecza śródlądowego przypadłoby 1 km 365 m, n a P o l s k ę z a t e m o k o ł o 530 km, czyli 7 i pół razy tyle, co posiada teraz.

Przy sile populacyjnej Niemiec i Polski nie biorę zupełnie pod uwagę obecnego zaludnienia tych krajów, gdyż stosunki pod tym względem mogą ulec wielu zmianom. Upośledzenie Polski pod względem zaopatrzenia w dostęp do morza uwydatnia się także wybitnie w porównaniu z Litwą. Porównywując 70 km stałego brzegu polskiego z 80 km stałego brzegu litewskiego, widzi się, że na każde 1.000 km^2 zaplecza śródlądowego w Polsce przypada zaledwo 180 m długości brzegu morskiego, zaś na każde 1.000 km^2 obszaru Litwy przypada 1.430 m długości brzegu morskiego, a więc 8 razy tyle, co w Polsce. Zważywszy, że zarówno Polska, jak i Litwa, rewindykowały od Niemiec swój dostęp do morza, i że o tym dostępie decydowały te same czynniki, że wreszcie te czynniki nie obawiały się litwinizacji Niemców kłajpedzkich, a przerażały się na myśl o odniemczeniu zgermanizowanych Polaków gdańskich i Mazurów wschodnio-pruskich, winniśmy zaniechać pojednawczego tonu, gdy ktokolwiek wymówi słowa „korytarz Gdański". W prasowych dyskusjach anschlussowych Niemcy podkreślali, że po odsunięciu Austrji od dostępu do Adrjatyku, Austrja należy przez Dunaj częściowo do zaplecza wybrzeża czarnomorskiego, częściowo zaś, jako „czasowo odrębne państwo niemieckie", do zaplecza Bałtyku. Uzasadniając swoje szerokie prawa do „niemieckiego Bałtyku", Niemcy traktują też jako zaplecze Szwajcarję, zaliczając ją, dla jej 80 proc. Niemców, do bloku niemieckiego.

Nie analizując bliżej uzasadnienia tej tezy niemieckiej, musimy mieć jednak na uwadze i czesko-słowackie zaplecze Bałtyku, które tylko obsługiwane jest przez Adrjatyk i przez Dunaj. Porty niemieckie, a w tem i bałtyckie: Lubeka i Szczecin, w znacznej mierze obsługują Czechosłowację, a specjalna niemiecka kombinacja taryfowa uniemożliwia Gdyni wydarcie Niemcom bodaj częściowo zamorskiego obrotu czechosłowackiego. Dzięki swemu upośledzeniu także Polska tylko częściowo obsługiwana jest przez własne wybrzeże. W szczególności cierpi handel Polski na tem, że przez Gdynię odbywa się prawie wyłącznie tylko obrót niskowartościowych towarów masowych. Wysokowartościowa drobnica, w nieznacznej (około 20 proc.) części przechodzi do Polski przez Gdańsk, zaś około 80 proc. przechodzi przez Hamburg, Bremę, Szczecin i Królewiec. Jak podaje inż. W. Hubert, zyski Niemiec na tym obrocie wynoszą około 120 miljonów złotych rocznie, płaconych przez Polskę. Nic też dziwnego, że Niemcy, korzystając na tym uprzywilejowanym dla siebie podziale dostępu do otwartego morza, pożądają odebrania Polsce nawet tej resztki wybrzeża, którą Polska pozyskała. Ale fizyczne prawo przynależności zaplecza śródlądowego do wybrzeża morskiego, w świetle faktów historycznych i cyfr statystycznych, dotyczących życia narodów, jest sprzeczne z dążeniem Niemiec. My przy każdej rozmowie możemy tylko dorzucić, że mamy granice morską o kilkaset kilometrów za krótką. Jesteśmy odgrodzeni od morza klinem niemieckim—„korytarzem" niemieckim", który jest niemiecką kolonją, zdobytą na rasowo pokrewnych nam narodach, a zgermanizowanych w swej większości w okresie, gdy inne narody zajmowały i kolonizowały dziewicze dżungle krajów zamorskich lub osiedlały swych kolonistów w niedostatecznie zaludnionych przez kolorowe rasy krajach egzotycznych.

Na zakończenie wypada wspomnieć o geometrycznej analogji, jaką przedstawia masyw obszarów państwa ro-

syjskiego w stosunku do brzegów morskich. Północ Rosji nie jest wprawdzie niedogodną sąsiedzką granicą suchą, nie jest jednak także dogodną drogą morską. Południe należy do zawojowanych narodów: Ukraińców, Tatarów, Gruzinów i Ormian. Zachód przedstawia małe okienko w zatoce fińskiej, wschód zaś suchą granicę, łączącą z własnym obszarem kolonizacyjnym. W tem właśnie leży wyjaśnienie sytuacji rosyjskiej. Z jednej strony olbrzymi masyw lądowy z powodu krótkich, a odległych od środka kraju granic morskich, jest siedzibą zastarzałej, niskiej kultury — już nieeuropejskich *), z drugiej strony przedstawia wielką obronność dzięki swej rozciągliwości. Blok rosyjski nie da się pozornie sprowadzić do wspólnego mianownika rozważań pod kątem wyprowadzonej zasady „geometrycznej" i fizycznej przynależności granic morskich do zaplecza, ale tylko pozornie. Wschód Rosji, zamiast morskiej granicy, umożliwiającej wypad w poszukiwaniu kolonji, przedstawia coś zupełnie wyjątkowego: suchą granicę z obszarem, który dzięki swej dziewiczości i słabemu zaludnieniu stał się łatwo własnym obszarem kolonjalnym. Tak więc olbrzymia masa lądu rosyjskiego otrzymała od natury właściwe odszkodowanie za brak odpowiedniej długości własnego dogodnego wybrzeża morskiego. Wybrzeże zachodnio-północne dzieli Rosja z Finlandją, Estonją i Łotwą. Usprawiedliwiony i w tym przypadku północno-zachodni kierunek pasa zasiedlenia rosyjskiego skazuje Rosję, ze względu na potrzeby jej północnych obszarów, na współżycie gospodarcze z temi państwami. Gdyby niezupełnie nowa, swoista konstrukcja wewnętrzno-polityczna dzisiejszej Rosji, to takie współżycie byłoby w szerokich rozmiarach możliwe dla stron obydwu.

W każdym razie zajmowanie rosyjskiego pobrzeża północno-zachodniego przez państwa małe, pozostające

---

*) Dzięki czemu możliwem się stało zaszczepienie i kontynuowanie eksperymentu komunistycznego.

przeważnie pod wpływem „zaprzyjaźnionego“, ale w istocie rasowo wrogiego państwa niemieckiego, przedstawia pod względem układu stosunków politycznych i pod względem geometrji zasiedlenia stan równowagi niestałej. O ile kiedyś w przyszłości Ukraina miałaby się usamodzielnić, za czem poszłyby pozostałe na południu, a zawojowane przez Rosję narody, to „geometryczny“ podział brzegów morskich przedstawiałby się wyraźniej i po uwzględnieniu w rozumowaniu poprawek, wypływających z układu geograficznego, zupełnie logicznie.

W każdym razie przyczyną nierównowagi i tarć politycznych pomiędzy państwami jest nie fakt posiadania przez państwo własnego brzegu morskiego, sąsiadującego z masywem zaplecza śródlądowego, jak to chcą wmówić światu Niemcy odnośnie do naszej części Pomorza, ale krzywdzące kliny, wbijane przez państwa, militarnie chwilowo silniejsze, pomiędzy sąsiadujące państwa słabsze, a brzeg morski. A „korytarz pruski“ nie jest jedynym klinem, naruszającym tę równowagę na świecie i nie on jeden upośledza normalny rozwój naszego państwa.

Andrzej Zawadzki.

HASŁO CHAMBERLAINA.

Czy przemysł Wielkiej Brytanji zdoła w najbliższej przyszłości odzyskać przodujące stanowisko, które zajmował w ciągu kilku stuleci na rynkach zamorskich obu półkuli?

Pytanie to spędza sen z powiek niejednego męża stanu w Londynie, gdyż od pomyślnej odpowiedzi zależy mocarstwowe stanowisko, a może nawet i egzystencja Brytyjskiego imperjum. Bo nie ulega wątpliwości, że potęga Anglji powstała jedynie dzięki rozwojowi jej przemysłu i handlu, choć trudno określić, jakie poszczególne wypadki i wpływy odegrały w tem najbardziej decydującą rolę. Złożyło się tu prawdopodobnie kilka szczęśliwych okoliczności: pewne specjalne cechy rasy anglosaskiej, szereg pomyślnych wydarzeń, oraz przyroda, która hojną ręką udzieliła swych darów, tak pod względem surowców, jak idealnego położenia geograficznego. W każdym razie, z pośród czynników, które stworzyły wielkość narodu, dużo zawdzięczają Anglicy poprostu przypadkowi, dużo wrodzonym zdolnościom, ale więcej jeszcze samym sobie, to znaczy opanowaniu i wyrobieniu swego charakteru. Przedsiębiorczość i wytrwałość, dając im panowanie nad morzami, pomagały im tworzyć kolonje w najodleglejszych zakątkach kuli ziemskiej, a solidność kupiecka zapewniła angielskim towarom pierwszeństwo na rynkach światowych. Ale i ten wspaniały rozkwit przemysłu i handlu zawierał w sobie także i zarodki poważnego niebezpieczeństwa. Wyrobił w mentalności społeczeństwa, jak to przyznaje jeden z poważnych ekonomistów angielskich, J. E. Ray, arogancję i pewność siebie, które, w połączeniu z drobiazgowym konserwatyzmem co do form i przestarzałych

metod pracy, są dzisiaj niemałą przeszkodą w walce z konkurencją innych krajów.

A walka ta, począwszy już od 1870 r., stawała się coraz ostrzejszą; przemysł Niemiec i Stanów Zjednoczonych opanowywał rynki, które dotychczas obsługiwane były jedynie przez kupców angielskich. Ekspansja przemysłu japońskiego dał się przed wojną odczuwać nietylko na Dalekim Wschodzie, ale nawet w samej Anglji, której zasady wolnego handlu pozwalały zalewać kraj towarami, tańszymi od miejscowej produkcji. Po wojnie inwazja ta została wstrzymana, Chiny jednak, dzięki swemu położeniu w bezpośredniem sąsiedztwie Japonji, zaopatrywały się chętnie w japońskie towary, wykończone wprawdzie mniej starannie, ale przewyższające nieraz angielskie udoskonalonemi metodami produkcji. Dzisiejsze powikłania w Mandżurji mogą jednak wpłynąć na zmianę warunków i przemysł brytyjski ma wielkie szanse odzyskania przynajmniej części utraconych rynków zbytu, czem się koła kupieckie w Londynie poważnie już zajęły.

Bojkot towarów angielskich w Indjach przynosi nieobliczalne straty i trudno przewidzieć, jak się wypadki dalej rozwijać będą. Sytuacja jest mocno zawikłana, gdyż nieporozumienie pomiędzy Hindusami i Muzułmanami pogłębia się coraz bardziej, grożąc w przyszłości poważnym konfliktem. W razie wycofania się Anglików, zapanowałby w Indjach chaos gorszy, niż w Chinach, z czego maharadżowie doskonale zdają sobie sprawę. Wogóle wśród Hindusów niema wcale takiej jedności, jaką Gandhi chciał przedstawić światu, co się zresztą zaznaczyło już nieraz. Najwyższe i najniższe sfery nie są bynajmniej po jego stronie. Sowiety dokładają naturalnie wszelkich starań, aby wrzenie w Indjach przedłużyć i pogłębić jeszcze kryzys ekonomiczny, który w Anglji daje się odczuwać w formie ostrzejszej może, niż w innych krajach.

Utrzymywać od tylu lat kilka miljonów bezrobotnych byłoby w każdem państwie niezbyt łatwem zadaniem, ale

w kraju przemysłowo-handlowym — to poprostu tragedja! Szkody, wynikające z takiej sytuacji, są potrójne: po pierwsze, świadczenia socjalne, obciążające nadmiernie produkujących członków społeczeństwa na korzyść nieprodukujących, po drugie, szalenie demoralizujący wpływ wywiera bezczynność na masy, pozbawione od dłuższego czasu wszelkiego zajęcia; po trzecie, obniża się ogromnie wydajność i dokładność pracy robotnika, który szybko wychodzi z wprawy, co będzie poważnem niebezpieczeństwem na przyszłość. Tak mało przyjmuje się wszędzie młodych sił na praktykantów i terminatorów, że może z czasem poprostu zabraknąć w Anglji wykwalifikowanych robotników!

Tymczasem na rynkach pojawiają się coraz częściej, oprócz towarów dawnych konkurencyjnych państw, nowe, zdobywające uznanie kupującej publiczności. Czechosłowacja i Włochy przejawiają coraz większą handlową aktywność, a niemiecki eksport przewyższał w ostatnich latach import o kilka miljardów marek. W dodatku pojemność rynków całego świata zmniejsza się w sposób zatrważający, dzięki ogólnemu zubożeniu ludności.

Jak dotychczas, wielkiem obciążeniem dla przemysłu i handlu brytyjskiego były zbyt wysokie koszta produkcji, dzięki zbyt małej wydajności pracy. Urządzenia w niektórych gałęziach przemysłu są tak przestarzałe, że robotnik amerykański produkuje mniejwięcej tyle, co czterech angielskich. Wynagrodzenia są bardzo wysokie, a choć znacznie niższe od amerykańskich, to przewyższają jednak o wiele płace na kontynencie. Obecnie, dzięki spadkowi funta, sytuacja trochę się poprawiła, ale dużo jeszcze w tej dziedzinie pozostaje do zrobienia.

Już w 1927 Ellis Barker pisał w swej ciekawej książce „America's Secret", że: Anglja zdaje się być w przededniu ruiny, nie dlatego, że ma olbrzymie długi wojenne, ale że zatraciła te cnoty, które stworzyły jej wielkość w przeszłości".

Inny autor amerykański dowodzi, że Imperjum Brytyjskie ma olbrzymie bogactwa naturalne i większe szanse rozwoju, niż to nawet sami Anglicy przypuszczają, ale niestety, nie przejawiają oni dziś tego zmysłu ekonomicznego, tak wybitnego u nich w ubiegłych stuleciach. Materjał ludzki nie jest już u nich na wysokości zadania!

Rozumieją to jednak sami Anglicy doskonale i z wrodzoną praktycznością rasy zabierają się do pracy nad usunięciem złego, zaczynając od podstaw, to znaczy od przygotowania dzielnych pracowników w następnem pokoleniu. Jako hasło biorą przedewszystkiem lojalność względem Brytyjskiego Imperjum. Demonstracyjny patrjotyzm nie leży w anglosaskiej naturze, ale chodzi tu o to, aby wpoić młodzieży poczucie odpowiedzialności za losy ojczyzny i obowiązek podtrzymania jej wielkich tradycji. Następnie, w celu zapoznania dzieci od lat najmłodszych z geografją handlową Brytyjskiego Imperjum, urządzane są w powszechnych i średnich szkołach odczyty o kolonjach, ich klimacie, położeniu, bogactwach naturalnych, środkach komunikacji i t. d. Zorganizowano też ostatnimi czasy odczyty przez radjo na ten temat dla młodocianych słuchaczy, aby w nich wyrobić zawczasu zrozumienie zagadnień imperjalnych i nowych warunków dzisiejszego bytu, które wymagają reorganizacji przestarzałych metod, przedewszystkiem w przemyśle i handlu.

Anglik niechętnie przyjmuje inowacje i każda nowa idea musi długo torować sobie drogę do jego umysłu; ale życie po wojnie poszło naprzód w tak szybkiem tempie, że żadne państwo nie może bezkarnie pozostać w tyle. Specjalnie utworzony Komitet Fachowego Wykształcenia Handlowego wydał w 1929 cenne wskazówki i rady dla kupców, chcących poświęcić się gruntownemu studjowaniu zagranicznych, a głównie kolonjalnych rynków i ich specjalnych potrzeb. Spotkać się można często z zarzutem, że brytyjscy przemysłowcy nie są dość szybko informowani

o zmianach, zachodzących w upodobaniach zamorskich klijentów. Dają się w tem uprzedzić Amerykanom, mającym świetną organizację handlową i przejawiającym wyjątkową ruchliwość i umiejętność. Szczególnie w Kanadzie, która ma te same miary i wagi oraz tą samą walutę, co Stany Zjednoczone, angielski handel jest poważnie zagrożony. Węgla importuje obecnie Kanada 3.000.000 ton ze Stanów, a zaledwie 500.000 ton z Anglji, żelaza, stali i maszyn za dol. 70.000.000 ze Stanów, z Anglji zaś tylko za dol. 4.000.000. Około 700 wielkich firm amerykańskich ma swoje oddziały w Kanadzie, a dopiero ostatnimi czasy przedsiębiorstwa angielskie zaczęły naśladować ich przykład. Olbrzymie kapitały amerykańskie (przeszło dol. 700.000.000) ulokowane są w kanadyjskich fabrykach i przedsiębiorstwach i ekonomiści angielscy podkreślają wciąż niebezpieczeństwo takiego stanu rzeczy, przypominając gorżkie doświadczenie w chwili wybuchu wojny światowej, kiedy to okazało się, że Niemcy mają w niektórych dominjach angielskich monopol na najpotrzebniejsze surowce. Imperjum Brytyjskie dostało wtedy naukę, która nie poszła na marne. Przyczyniła się w dużej mierze do zmiany poglądów społeczeństwa na kolonje i ich znaczenie.

Już w 1897 Kanada udzieliła taryfy preferencyjnej całej liście surowców z Indji Zachodnich, a w 1906 Australja i Nowa Zelandja zastosowały te same metody względem towarów południowej Afryki. Sytuacja zarysowała się jasno i wyraźnie: kolonje mają niewyczerpane bogactwa naturalne, ludność wzrasta szybko i powstają coraz nowe rynki zbytu, ale rządy poszczególnych Dominjów zawierają traktaty handlowe nietylko pomiędzy sobą, ale nawet z państwami konkurencyjnemi macierzy. A zatem, co będzie z angielskim przemysłem i handlem?

Przemysłowe koła jeszcze w 1911 r. wpłynęły na „Imperial Conference", aby postanowiła dążyć intensywnie do rozwoju stosunków handlowych z Dominjami, badać ich rynki, ich potrzeby i możliwości, a w tym celu powołać do

życia specjalną komisję, przeznaczoną do skoordynowania akcji, bardzo dotychczas chaotycznej i przypadkowej. Komisja ta ze swej strony stworzyła tak zwany „Imperial Economic Commitee", który rozwija dziś ożywioną działalność, dla podniesienia poziomu handlowej aktywności angielskiej. Poszczególne działy, pod kierunkiem doświadczonych specjalistów, zbierają informacje, prowadzą naukowe badania nowych metod w przemyśle i handlu, geograficznych właściwości zamorskich krajów, ich warunków, zapotrzebowań i t. d. Prowadzą też intensywną propagandę, aby wpoić w masy, przyzwyczajone do obojętnego ustosunkowania się do Dominjów, że współpraca z niemi jest dziś koniecznością państwową i że dobrobyt w Anglji zależy od tego, czy zdołają nakłonić konsumentów w kolonjach do nabywania przedewszystkiem angielskiej produkcji. Wzamian towary z Dominjów muszą mieć pierwszeństwo na rynku londyńskim. Pojemność tego rynku jest olbrzymia i nikt nie może negliżować tak poważnego konsumenta.

Następujące cyfry przedstawiają eksport pszenicy do Anglji w 1928 r. z poszczególnych Dominjów:

	Cwt.
Kanada	41,005.492
Australja	10,233.345
Angielskie Indje Wschodnie	1,548.412
	52,787.249

Eksport pszenicy do Anglji z zagranicznych krajów przedstawiał się w tym samym roku następująco:

Stany Zjednoczone	23,662.487
Argentyna	24,399.294
Inne państwa	2,729.350
	50,791.131

A zatem Dominja pokryły tylko połowę zapotrzebowania na pszenicę. Tak zwana „Dominions Royal Commis-

sion" wydała odezwę, nawołującą do systematycznego dążenia, aby Imperjum Brytyjskie było pod tym względem zupełnie samowystarczalne, szczególnie na wypadek nowej wojny. Podkreśla też jeszcze większą zależność Anglji od zagranicy w dziedzinie produktów mleczarskich. W 1928 sprowadzono do Londynu masła i sera na dol. 67,116.340 z różnych krajów, z czego 1/3 przypada na Danję, której położenie geograficzne jest wyjątkowo korzystne. Jednak mleczarstwo w Irlandji rozwija się pomyślnie i gdyby zostało zorganizowane na podstawach naukowych intensywnej produkcji, mogłoby z powodzeniem konkurować z Danją, będąc w znacznie bliższem sąsiedztwie z Anglją.

Najpoważniejszą pozycją w imporcie artykułów spożywczych zajmuje mięso, którego wartość wynosiła w 1928 dol. 100,000.000. Z tego 2/3 przywiezione było z zagranicy, głównie z Argentyny i Urugwaju, a tylko 1/3 z Kanady, Australji, Nowej Zelandji i Irlandji.

W tym samym roku przywieziono jaj za dol. 17,766.513, z czego tylko 1/4 pochodziła z Dominjów, a cukru i wyrobów cukierniczych za dol. 3,645.509, podczas gdy kolonje dostarczyły tylko za dol. 113.607, pomimo, że same Indje Wschodnie posiadają około 3,000.000 akrów trzciny cukrowej, z produkcją roczną 3,000.000 ton. Jednak konsumcja wewnętrzna w Indjach jest ogromna i na eksport pozostaje tylko znikoma ilość cukru.

Bardzo poważną pozycję w imporcie angielskim stanowią owoce i przetwory owocowe, których sprowadza się rocznie za olbrzymią sumę dol. 50,000.000, z czego 3/4 pochodzi z zagranicy, a tylko 1/4 z Dominjów. Australja dostarcza za dol. 1,636.000 jabłek, będąc w tak szczęśliwem geograficznem położeniu, że jej owoce przychodzą w porze, kiedy już nie grozi im żadna inna konkurencja.

Herbaty konsumuje Anglja za dol. 35,779.931, ale z tego 80% pochodzi z Dominjów i kolonji.

W dziedzinie surowców pierwsze miejsce zajmuje ba-

wełna, która do niedawna stanowiła jedną z głównych gałęzi brytyjskiego przemysłu. Obecnie Anglicy sami przyznają, że nie odzyskają pewnie nigdy tej pozycji, którą ich wyroby tekstylne zajmowały przed wojną. Jednak w 1928 import bawełny wynosił 15,057.681 centali *) i w 85% pochodził z zagranicy. Światowa produkcja bawełny zmniejsza się z każdym rokiem, w interesie więc Dominjów byłoby powiększyć swe plantacje, aby pokryć całe zapotrzebowanie macierzy.

Wełny sprowadziła Wielka Brytanja w 1928 r. za dol. 60,566.674, z czego jednak dol. 49,000.000 pozostało w Dominjach, głównie w Australji, której towar jest bez konkurencji, tak pod względem gatunku, jak ilości eksportu, sięgającego rocznie do dol. 60,000.000.

Po artykułach spożywczych i tkaninach trzecie miejsce zajmuje drzewo, którego import w 1928 osiągnął dol. 42,565.000. Oczywiście kraje bałtyckie, dzięki swemu położeniu geograficznemu, miały pierwszeństwo na rynku londyńskim, tembardziej, że dumping sowiecki obniżył ogromnie ceny drzewa. Kanada jednak interwenjowała niedawno u rządu angielskiego, aby nie dopuścić do odnowienia kontraktu z Sowietami na 540 standartów drzewa, wartości dol. 5,000.000, proponując ustanowienie stałych kontyngentów dla Dominjów i państw bałtyckich. Obliczają, że Kanada posiada 250,000.000 akrów lasu i w 1928 wywiozła drzewa za dol. 20,000.000, przeważnie do Stanów Zjednoczonych. Obecnie zapotrzebowanie na rynkach tamtejszych zmniejszyło się znacznie i Kanada zabiega o powiększenie swego eksportu do Anglji. Masa drzewna, odgrywająca dziś w przemyśle olbrzymią rolę, przyniosła Kanadzie w 1928 dol. 9,100.000, a papier dol. 29,400.000, z czego na eksport do Stanów Zjednoczonych przypada 80% całej produkcji.

---

*) Cental — centnar angielski = 100 f. ang.

Tytoniu importowała Anglja w 1928 r. za dol. 16,505.133, z czego tylko 20% z kolonji.

Cyfry powyższe wykazują jasno, jakie korzyści może przynieść Dominjom i kolonjom nowa polityka dzisiejszego rządu angielskiego, szczególnie wobec kurczenia się pojemności rynków światowych i głoszonych wszędzie haseł samowystarczalności. Oczywiście między r. 1928 a 1932 zaszły i w Anglji olbrzymie zmiany, jest to jednak rynek tak poważny, że z nim każdy liczyć się musi.

Wielka Brytanja przeżyła 4 lutego 1932 wielki dzień, w którym odstąpiła od zasad wolnego handlu, trwającego od 86 lat i przeszła oficjalnie do protekcjonizmu celnego. Na konferencji imperjalnej, mającej się zebrać w Ottawie w lipcu bieżącego roku, udzielone będą cła preferencyjne członkom imperjum, a dopiero potem poszczególnym krajom zagranicznym.

W 1848 Cobden powiedział: „Kupuj tam, gdzie najtaniej, a sprzedawaj, gdzie możesz dostać najwięcej“ i kolonje korzystały skwapliwie z tej zasady. W 1904 Józef Chamberlain rzucił nowe hasło: „Think imperially!“ *), dając początek długiej i zaciekłej walce pomiędzy imperjalistami a zwolennikami małej Anglji (Little Englanders), którzy twierdzili razem z Cobdenem, że kolonje nie przynoszą korzyści, wyrównywujących poniesione ofiary i że bez nich finanse angielskie byłyby zdrowsze. To zdanie wyrobiło w pewnych kołach przekonanie, że imperjalna polityka jest błędem i że możnaby raczej dopuścić do rozpadnięcia się imperjum, niż do jego konsolidacji.

Trzeba przyznać, że między temi dwoma datami — 1926 a 1932 — Anglja doszła do największego rozkwitu właśnie dzięki zasadzie wolnego handlu. Epoka wiktorjańska zapisała się na kartach historji, jako okres potęgi i po-

*) Myślcie imperjalnie!

myślności handlowej, niespotykanej dotychczas w dziejach świata. Ale właśnie to powodzenie uśpiło czujność narodu. Przez tyle lat było dobrze, więc poco zmieniać? Funt, uważany za monetę międzynarodową, Londyn za ośrodek światowego handlu, technika i potęga banków bez konkurencji, towary angielskie królują na wszystkich rynkach zamorskich! Zaledwie kilku wybitnym ludziom przychodziło czasami do głowy, czy to powodzenie nie należy przypisać, między innemi, także zbyt słabej rywalizacji innych państw? Dopiero, gdy aktywność konkurencji się wzmogła, trzeba było zbudzić się do twardej rzeczywistości.

Warunki po wojnie zmieniły się tak szybko i radykalnie, ustrój świata uległ tak poważnym przeobrażeniom, że pomimo całego przywiązania do tradycji i dawnego ustroju, konserwatyści angielscy zrozumieli pierwsi, że trzeba albo przystosować się do konieczności dziejowej, albo zrezygnować z przodującego stanowiska i zejść do poziomu trzeciorzędnego państewka.

Nie pierwszy to raz Wielka Brytanja znajduje się w sytuacji krytycznej. W 1789 straciła po wojnie amerykańskiej większość swych kolonji i jej handel zamorski poważnie był zagrożony. Na początku XIX stulecia funt spadł i choć w r. 1819 wrócił znów do parytetu złota, to jednak aż do 1946 kraj przeżywał wstrząsy polityczne, podobne do dzisiejszych. Dopiero, gdy Robert Peel przeforsował w Izbie gmin odwołanie tak zwanego „Corn Law“ — prawa, zabraniającego w 1815 importu pszenicy dla podniesienia jej ceny w kraju — powoli, na miejscu starej, feudalnej, arystokratycznej Anglji, zaczęła się wyłaniać nowa, demokratyczna, której podstawą i hasłem stał się wolny handel. Następnie, między 1852 a 1866 Gladstone doprowadził do końca dzieło, zaczęte przez Peel‘a, znosząc cła na czterysta czy pięćset artykułów spożywczych i surowców. Dziś hasło Chamberlaina tryumfuje i syn jego, obecny kanclerz skarbu, przemawiając w Izbie gmin 4 lutego, zaznaczył, że czuje się szczęśliwym ze zmiany gospodarczego systemu

Wielkiej Brytanji, w myśl ideałów, o które walczył jego ojciec.

Jedna karta dziejów zamknęła się definitywnie. Czy znajdzie się mąż, który zapoczątkuje nową erę pomyślnego rozwoju? Trzeba mieć nadzieję, że tak, bo, jak to dowcipnie powiedział jeden z francuskich publicystów, „wszyscy wiemy — i za tę naukę zapłaciliśmy dość drogo — że bez stabilizacji angielskiej waluty cały świat kuleje!“ Trudno przewidzieć, kiedy Anglja wróci do parytetu złota. Wobec pogłębiającego się kryzysu i światowej depresji prawdopodobnie nieprędko. Ale nawet tu niespodzianki nie są wykluczone. Według słów majora Polson Newman'a w „Nineteenth Century“, ludzie podziwiają aktywność francuskiego intelektu i zbiorowy wysiłek narodowej pracy, które są podstawą dobrobytu i powodzenia. Ale nie mogą zrozumieć, jakim sposobem udaje się w życiu ludziom, którzy na oko są apatyczni i obojętni, a tylko zdobywają się na energję w razie koniecznej potrzeby? Nie doceniają tego „common sense“, wrodzonego brytyjskiej rasie, który na dłuższą metę tryumfuje nieraz w życiu nad świetną organizacją Niemców i bystrością Francuzów. „Logicznem jest — pisze dalej Newman w swym artykule — żeby Dominja miały swych reprezentantów zagranicą, dziwnem jednak byłoby, gdyby poseł z Dominjum składał listy uwierzytelniające w Londynie królowi, którego jednocześnie reprezentuje, jako głowę tegoż Dominjum. A jednak taka sytuacja nie jest niemożliwa według elastycznej i nielogicznej na oko mentalności brytyjskiej. Cudzoziemska opinja niedwuznacznie daje nam do zrozumienia, że uważa nas za naród idjotów, jednak historja ubiegłych stuleci wykazuje, że może jednak jesteśmy wcale mądrymi idjotami! Dlatego pewnie zarzucają nam chytrość i perfidję, a politycy zagraniczni zabawiają się w zgadywanie, o czem może myśleć poseł angielski w chwili, kiedy się wydaje najbardziej zajęty swym urlopem lub polowaniem na kuropatwy?“.

Są to uwagi wcale trafne. Rzeczywiście, polityka an-

gielska wydaje się często, z punktu widzenia kontynentalnego, niezrozumiałą. Pamiętać jednak należy, że główne interesy Wielkiej Brytanji leżą poza obrębem Europy i w razie konfliktu zamorskie sprawy miały i mieć będą dla Anglji zawsze pierwszeństwo, jako bardziej żywotne i doniosłe dla całości Imperjum Brytyjskiego.

Marja Zabiełłowa.

PRZESILENIE W MASONERJI.

Wśród ogólnego przesilenia występuje przesilenie i w masonerji. Nie można twierdzić, że masonerja wewnętrznie się załamuje i szeregi jej topnieją, ani też, że na zewnątrz maleją jej wpływy; ale brak jej przedwojennej zwartości. Podczas, kiedy w Ameryce przedstawia się wprost imponująco, w Europie wkroczyła pod znak niezgody i rozdarcia wewnętrznego. Prądy, sobie przeciwne, powodują bezustanne tarcia na podłożu tak politycznem, jak i religijnem i organizacyjnem. Ameryka usiłuje pośredniczyć, ale nie bardzo jej się to udaje. Międzynarodowy Związek Masoński, powołany do życia w Genewie, traci stale loże i zwolenników i w ostatnich dwuch latach powoli posunął się w cień, zwalczany przez inne ośrodki. Między francuską a pruską masonerją przepaść nienawiści zaciekłej! Na łamach pism masońskich zwalczające się obozy nie przebierają w wyrażeniach, usiłując się wzajemnie pognębić.

Z tego rozgwaru bojowego jednak nie wynika, że można sobie wolnomularstwo lekceważyć i traktować je już, jak lwa umierającego.

Bezwątpienia weszło ono w okres wytężonej walki o byt i władzę, które w ostatnim czasie zachwiały się. Ale jest w niem jeszcze na długie lata tyle siły, że ciągle należy się lękać jego niebezpiecznych podkopów.

Wynika to już z samej statystyki. Według kalendarza Dalen'a na r. 1931, było wszystkich masonów w Europie 741.735 w 835 łożach, z czego przeszło połowa przypadała na Anglję, 76.000 na Niemcy, 70.000 na Holandję, 30.000 na Francję. W Australji było ich 192.000, w Ameryce Południowej 50.000, w Ameryce Środkowej 7.000, w Ameryce Północnej i jej kolonjach 3,509.000 w 18.000

lóż. Wszystkich masonów na świecie byłoby więc przeszło 4 i pół miljona.

Do tego należy doliczyć cały szereg zespołów kryptomasońskich, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, niekiedy bardzo bujnych i niesłychanie wpływowych. Według X. Jouin'a także francuska „Liga dla praw człowieka" jest niczem innem, jak „widoczną filją ukrytego wolnomularstwa" i prowadzi walkę antyklerykalną. Zastraszający wprost jest w ostatnich latach jej rozmach: w r. 1924 liczyła Liga w 1292 odziałach 100.050 członków, a w kwietniu 1931 r. już w 2.269 oddziałach 169.340 członków.

A jak wygląda w Polsce? Że u nas stale czynią się niebezpieczne podkopy, o tem pisałem kilkakrotnie już w „Rocznikach Katolickich", gdzie przytaczałem ostrzegawcze głosy papieża Piusa XI i Prymasa Hlonda, który 8 września 1929 r. wyraźnie mówił: „Przed Polską stanął w roli kusiciela szatan ludzkości, aby zwichnąć jej przyszłość i złamać jej ducha, aby się nie dokonało jej odrodzenie, aby się nie zdobyła na swój twórczy czyn dziejowy i nie spełniła wśród narodów posłannictwa, do którego ją wskrzesiła Opatrzność".

W Polsce istnieje Wielka Loża Narodowa, założona w 1822 r., a wskrzeszona w r. 1921 po ukończeniu wojny polsko-sowieckiej. Liczy ona 11 poszczególnych lóż, a w nich ok. 450 członków. Obok niej działa w Polsce jeszcze Związek lóż niemieckich (Bund deutscher Freimaurerlogen in Polen) z 514 członkami, z których najwięcej liczy loża katowicka. Ze „światła" Wielkiej Loży Narodowej przesiąka na zewnątrz rzadko kiedy jakiś promień, odczuwa się jednak częściej z ukrycia działającą rękę masońską, zwłaszcza w usiłowaniach zlaicyzowania narodu. Tyle tylko wiadomo publicznie, że wielkim mistrzem po Andrzeju Strugu (Tadeuszu Gałeckim) jest prof. J. Mazurkiewicz, wielkim sekretarzem dr. Emil Kipa, a centrala loży jest w Warszawie, u Stanisława Stempowskiego, na Polnej 10. W ostatnich czasach

nastąpił rozłam w polskiej masonerji: masonerja prawicowa przywarła do angielskiej, a lewicowa do niebezpieczniejszego jeszcze „Wielkiego Wschodu". Porównując liczbę członków z liczbami lat ubiegłych, zauważy się jednak, że wolnomularstwo nie czyni w Polsce postępów. W Europie mniej od Polski wolnomularzy mają tylko W. księstwo Luksemburskie (110) i Jugosławja (100).

Główne dwa gniazda wolnomularstwa w Europie znajdują się obecnie w Wiedniu i w Paryżu. Stąd rozchodzą się nowe programy, stąd idą hasła, poruszające całą masonerję europejską.

Wolnomularstwo francuskie chadza w aureoli wspaniałego powodzenia i ma za sobą zwycięski bój przeciwko Kościołowi. Nieprzejednane wobec religji, zwłaszcza, gdy chodzi o Wielki Wschód i zależną od niego masonerję romańską, stanęło na podłożu ateistycznem, odrzynając się wyraziście od wolnomularstwa anglosaskiego. Wierze jego przyziemnej, materjalistycznej, dają upust słowa jednego z przywódców, Lucjana Wiktora Meunier'a, który na konwencie w r. 1925 powiedział:

„My, wolnomularze, mamy wiarę, ale nie tę wiarę w jakąś potęgę nadprzyrodzoną, pozaziemską, nadludzką, zrodzoną przez ciemnotę, czy dla interesu tyranów. My mamy wiarę w samych siebie, w naszą siłę, w naszą wolę, w naszą odwagę. Gdyby zawrzeć nasze credo w jedną formułkę, aby je przeciwstawić wierzeniom dawnych religji, to powiedziałbym: Wierzę w człowieka, w człowieka, władnego pana przestrzeni, którego genjusz dokonał tylu cudów, że cuda, opowiedziane w dawnych mitologjach, zdają się bardzo śmieszne i bardzo dziecinne. Wierzę w człowieka"...

I właśnie ten najzacieklejszy odłam masonerji oprządł, jak straszliwy pająk piekielny, cały wielki naród, który ton nadaje tylu postępowym i kulturalnym prądom świata. Zastęp trzydziestotysięczny kieruje niemal wyłącznie losami

40-miljonowej Francji. Masoni opanowali tu przedewszystkiem rząd i partje polityczne i urzędy i skrępowawszy Kościół, dyktują swoją wolę. Bezpośredni wpływ wywierają oni zwłaszcza na potężne stronnictwo radykałów, a partja radykalnych socjalistów jest wprost ich ekspozyturą. Taksamo i demokratyczno-radykalne ugrupowania środkowe, jak i organizacje drugiej międzynarodówki, ulegają ich naciskowi. Oni to obalili swego czasu rząd p. Tardieu i nie chcą wpuścić prawicy w obręb jakiejś koalicji rządowej. Z pianą na ustach rzucają się na wszystkie instytucje i prądy, przychylnie usposobione dla katolicyzmu. Głośno i gromko rozlega się ich hasło: „Le cléricalisme — voilà l'ennemi!"

W ostatnim czasie zaciążył we Francji wpływ masonów, jak chmura gradowa, nad szkołą katolicką i objawił w całej pełni przeraźliwą wszechmoc tej piekielnej potęgi. Dąży ona usilnie do „odbudowania świątyni", czyli do przetworzenia ludzkości według zasad masońskich i dlatego zagięła parol na dzieci i młodzież. Wychodząc z założenia, że dzieci nie mają żadnej wolności, że rodzice nie mają prawa do dzieci, że dzieci należą do loży, ukuli masoni szeroko rozpięty plan zagarnięcia wszystkich dzieci pod swoją opiekę i udzielenia im jednolitego wychowania zapomocą jednolitej szkoły (école unique). Dotąd wymykały się dzieci szkół wolnych z pod ich argusowego wzroku i dlatego należy upaństwowić i szkoły wolne. Niepotrzeba ich usuwać zapomocą ustawy, wystarczy stworzyć bezpłatną szkołę publiczną i obdarzyć ją rozmaitemi dobrodziejstwami, jak wolną stancją dla uczniów, wolnem ich utrzymaniem, a nawet wynagradzaniem za „stratę czasu", a wtedy szkoła wolna sama się zadusi z braku środków i uczniów. To też masoński konwent już w r. 1924 uchwalił rezolucję tej treści:

„Należy nacjonalizację nauczania, przyjętą przez Konwent, włączyć do ogólnej nacjonalizacji, a wtedy elita, złożona z wybrańców szkoły jednolitej, ujmie w swoje ręce

troskę zarządzania i eksploatowania bogactw materjalnych oraz skarbów sztuki i nauki, a tem samem zawładnie losami narodów i ludzkości“.

Wolnomularzom marzy się, jak mówią poprostu — „hegemonja nad światem, jaką Kościół w średniowieczu dla siebie daremnie usiłował wprowadzić“.

A nie są to tylko marzenia! Czyn twardy, nieustępliwy, zdobywczy, zachłanny, idzie krok w krok za rezolucjami, uchwałami i planami wolnomularzy francuskich. A ponieważ mają prasę tak wiejską, jak i miejską, na swoich usługach, rozrzucają miljony ulotek, tworzą osobne instytucje przy szkołach i dla młodzieży przedszkolnej; ponieważ trzymają w kleszczach ciągłej kontroli posłów, których wydźwignęli do parlamentu na swoich szerokich barach i mają przemożny wpływ w komisjach sejmowych, plany im się łatwo zamieniają w czyn. Tak i bezpłatna, czy nawet „płacąca“ szkoła jednolita powoli nabiera rzeczywistych kształtów. Na oczach wszystkich dokonują rezolucje, uchwalone w Konwencie masońskim, w pokojowy sposób „rewolucji, która jest większą od wielkiej rewolucji“.

Sławny pisarz katolicki, Pierre l'Ermite, znakomicie podmalowując podłoże wpływów masońskich, tłumaczy powodzenie tej roboty. Opiera się ona bowiem o żelazną dyscyplinę, o gruntowne studja nad każdym planem, który wytrwale rozbiera się na zebraniach, o potęgę prasy i organizacji, o zręczne urabianie opinji. Temu celowi też służą mocne hasła, ukute wśród gorących dyskusji i rzucone potem, jak bomby, między tłumy, hasła w rodzaju takich, jak: Klerykalizm to wróg! Precz z księżmi! Księża należą do zakrystji! Laicka szkoła jednolita!

Obok wolnomularstwa paryskiego nabrały w ostatnim czasie wielkiego znaczenia loże wiedeńskie. Mając poparcie braci amerykańskich, a osobliwie najwpływowszej loży nowojorskiej, przeciwstawiły się masonerji romańskiej, jako „bezbożnej“, nie uznającej anglosaskich „landmarks“ i zwyciężyły w walce z Association Maçonnique Internatio-

nale. Przeciwko temu związkowi, który, po odsunięciu się loży nowojorskiej i holenderskiej, chylił się już w r. 1928 ku upadkowi, wysunęli swoją „Universale Francmassona Ligo", która za sprawą brata Uhlmanna z Austrji powstała w r. 1913 na zjeździe esperantystów masońskich w Berlinie, ale dopiero w ostatnich latach nabrała rozmachu. W tej Lidze Powszechnej (Allgemeine Freimaurerliga) podkreśla się neutralność w zagadnieniach religijnych i politycznych. Na zjeździe w Genewie jesienią 1930 r. obradowano m. in. nad założeniem i sfinansowaniem osobnej „Academia massonica", któraby powstała w Pradze i zajęła się naukowem badaniem wolnomularstwa.

W przeciwstawieniu do lóż austrjackich, znaczenie niemieckich maleje. Rozsadza je niezgoda i zaciekła walka wewnętrzna. Kością niezgody jest w pierwszym rzędzie stosunek do lóż francuskich. Podczas, gdy niektóre loże zachodnio-niemieckie chciałyby z niemi nawiązać bliższe stosunki, trzy wielkie loże pruskie potępiły ten krok, jako niezgodny z honorem narodowym i zasadami „masonerji chrześcijańskiej". Razem z najazdem żydostwa na loże niemieckie rośnie w nich agnostycyzm i ateizm. Stąd nie brak już pastorów w Niemczech, którzy otwarcie zwalczają wolnomularstwo, podtrzymywane dotąd właśnie przez nich. Ciosy, jakie wymierzyły mu pióro Ludendorff'a i Wilhelma II, pomawiających wolnomularstwo o współwinę upadku Niemiec, podkopały jeszcze więcej jego autorytet. Chaos masoński spotęgowało założenie nowego ośrodka „Symbolicznej Wielkiej Loży Niemieckiej", do której przyłączyło się 8 innych lóż.

Najciekawszy i wprost nieoczekiwany objaw w naszych czasach, to usiłowanie zbliżenia się masonerji do katolicyzmu. Główni przedstawiciele Ligi Powszechnej, dr. Reichl i Eugen Lennhoff, autor najnowszej monografji o wolnomularstwie, wraz z Ossianem Langem, wysłannikiem loży nowojorskiej, udali się po zebraniu wiedeńskiej loży Św. Jana (21 maja 1928 r.) do Akwizgranu na konferencję

z O. Gruberem, znanym Jezuitą i historykiem masonerji. Z tego powodu powstała w prasie wrzawa i nawet O. Mickermann, głośny Jezuita, ową podróż braci wolnomularskich nazwał „pójściem do Kanossy". Na to sam Reichl zaprzeczył publicznie, że krok ich nie miał tego znaczenia, bo chodziło tu tylko o wspólne studjum nad istotą masonerji i wykazanie, że masonerja anglosaska odnosi się przychylniej do katolicyzmu, niż łacińska. W dalszych artykułach Reichl starał się wykazać, że zaczepność katolików wobec masonerji jest zbyt wielka i nie cofa się przed żadnymi środkami, ani nawet przed kłamstwem, byle tylko dopiąć celu. A przecież masonerja anglosaska nie jest wroga katolicyzmowi i wogóle masonerji nie należy pomawiać o tajemniczość. Podobnie i Lennhoff broni wolnomularstwa od tego zarzutu, a w swojem dziele usiłuje obmyć i wybielić nawet ateistycznego murzyna z rue Cadet w Paryżu. Tymczasem, jak wykazują Jezuici rzymscy, zarzuty, czynione katolikom przez masońskich pisarzy, są niesłuszne. Jeżeli zdarzyły się wypadki, że i poważni katolicy nieświadomie szerzyli błędy o masonerji, jak w onej osławionej sprawie Leona Taxil'a, to tylko dlatego, że padali ofiarą samych masonów, rozsiewających naumyślnie takie fałsze. Zresztą owoce ukrytej działalności zbyt wymownie świadczą o wrogości wolnomularstwa. Sam O. Gruber stwierdził, że Stolica Św. nie mogłaby w żaden sposób zmienić swojego stanowiska także wobec masonerji anglosaskiej, ze względu na jej naturalizm doktrynalny i wewnętrzny ustrój, oparty o tajemnicę. Jest to rzeczą dowiedzioną. Wystarczy tu jasne świadectwo masona 33 stopnia, brata Pecorini, który stwierdza: „Masonerja jest stowarzyszeniem tajnem nietylko w tem znaczeniu, że jedynie członkom dozwolony jest wstęp na zebrania, ale, co ważniejsze i w tem, że bracia przysięgają niczego nie zdradzić z obrad swoich. Stąd nie pozwala się nawet Najwyższemu Mistrzowi brać udziału w polemikach prasowych. Nawet rytuał szkocki, uchodzący za najłagodniejszy, głoszący wolność sumienia i wyzna-

nia, krępuje członków w praktykach religijnych. Zresztą i sam Reichl przyznaje, że istota masonerji, to dążenie do „przetworzenia świata i ludzkości według czystego, humanitarnego ideału masońskiego“.

Wieści o masonerji i jej zbrodniach należy, rozumie się, przyjmować najostrożniej, boć i wobec wrogów obowiązuje prawdomówność. W ostatnim czasie nie schodzi z łamów prasy niemieckiej zarzut, że masoni wywołali wielką wojnę, bo oni to ukuli plan zamordowania arcyksięcia Franciszka Józefa i wykonali go przez serbskich braci i siepaczy 28 czerwca 1914 r. Oskarżenie to, podniesione najpierw w jakimś chorwackim kalendarzu Najśw. Serca Jezusowego, nabrało rozgłosu głównie przez Fryderyka Wichtla, autora poczytnej książki o masonerji. Lennhoff nazywa to bajką i powołuje się na O. Grubera, według którego mordercy, nie mający jeszcze 21 lat, nie mogli należeć do masonerji; usiłuje też wykazać, że i organizatorzy zamachu nie należeli do loży i że wolnomularstwo nie mogło maczać palców w tej zbrodni. Mimo to wraca się w Niemczech do tej zawiłej sprawy i na łamach poważnych czasopism, a ponieważ jest to woda na młyn polityki niemieckiej, budzi ona żywe zajęcie. Wyświetlenie jej należy zostawić historji.

Jak widoczne, masonerja międzynarodowa stanowi dziwne drzewo, którego siła i żywotność objawia się nietyle w bujnej koronie, ile w szeroko rozgałęzionych korzeniach, wstrząsających tronami i religją. Jakkolwiek wewnętrznie niejednolita, a nawet rozdarta i w swoich odłamach nawzajem się zwalczająca, zdołała jednak postąpić na drodze spoganienia Francji i odnieść walne zwycięstwo w Hiszpanji, gdzie objawiło się jakoby przymierze z bolszewizmem, dotychczasowym wrogiem nieprzejednanym. Występuje więc ona ciągle jako podziemna a niesamowita potęga, która w obozie katolickim winna budzić nietyle grozę, ile czujność i gotowość do obrony.

X. Nikodem Cieszyński.

O KONSTRUKTYWNĄ POLITYKĘ UKRAIŃSKĄ W POLSCE.

Za punkt wyjścia do niniejszych rozważań pragnąłbym wziąć dwa obszerne i godne głębszej rozwagi artykuły, jakie Dr. Wasyl Kuczabski ogłosił w wychodzącym we Lwowie ukraińskim miesięczniku „Dzwony" p. t. „Polska dyplomacja i wschodnio-galicyjskie zagadnienie na paryskiej konferencji pokojowej w 1919 roku" (N-ry 1 — 2, kwiecień — maj 1931 r.) i „Ukraińska dyplomacja a państwa Ententy w roku 1919" (N-ry 6 — 9, wrzesień — grudzień 1931 r.). Z dużą znajomością materjału faktycznego, zwłaszcza o ile chodzi o historję wyników ukraińskiej dyplomacji w krytycznym okresie, z bardzo dobrą analizą sytuacji w jej poszczególnych, zmiennych fazach rozwoju wykazuje autor, jak i dlaczego sprawa „wschodnio-galicyjska" doprowadzoną została już w roku 1919 do faktycznego (choć jeszcze nie formalnego) rozwiązania, dającego pełne nasycenie „polskich apetytów", a przechodzącego do porządku dziennego nad wszelkimi wysiłkami ukraińskiego oręża i ukraińskiej, a zwłaszcza zachodnio-ukraińskiej, dyplomacji.

Dużo refleksji nasuwa się przy czytaniu obu ogłoszonych prac autora przy rozpamiętywaniu tak w czasie bliskich jeszcze, a tak już zapomnianych faz rozwoju „sprawy ukraińskiej" w krytycznych latach 1918 — 1919, przy uświadomieniu sobie zwłaszcza niezrozumiałego napozór faktu, że pragnienia Ukraińców kijowskich i Ukraińców halickich nigdy właściwie nie dały się uzgodnić, że mimo najszczersze wysiłki z obu stron i niezaprzeczony patrjotyzm, prowadzący — zdawałoby się — prostą drogą do porozumienia, polityka Kijowa i polityka Halicza pogodzić się nigdy nie dały, a wynikiem tej organicznej rozbieżności, silniej-

szej nad wszelkie wysiłki ukraińskich patrjotów, było pełne, stuprocentowe zaprzepaszczenie wszelkiej sprawy ukraińskiej i to tak Ukrainy zjednoczonej, jak Ukrainy naddnieprzańskiej, jak wreszcie Ukrainy zachodniej. Z epoki ewangeliczno-wilsonowskiej, okresu żywiołowego, często nawet nieracjonalnego tworzenia się państw narodowych w Europie środkowej i wschodniej, wyszedł naród ukraiński, liczbowo największy i najsilniejszy wśród środkowo- i wschodnio-europejskich narodów, nietylko, że bez państwowości własnej, ale bez wogóle jakiejkolwiek gwarancji, jakiegokolwiek narodowego rozwoju na własnej ziemi. Dr. Kuczabski próbuje tę bezprzykładną klęskę wytłumaczyć błędami, popełnionymi przez kierujących podówczas polityków i dyplomatów ukraińskich i tłomaczenie swoje popiera szeregiem bardzo słusznych, bardzo przekonywujących wywodów. Ze sprawami ukraińskiemi, wschodnio-galicyjską w szczególności, zetknąłem się dopiero w roku 1921, t. j. w niespełna dwa lata po zamknięciu się okresu, będącego przedmiotem rozważań autora, miałem jednak możność zapoznać się ex post z historją wysiłków zachodnio-ukraińskiej dyplomacji w omawianym okresie, a później także bądź to śledzić jej wysiłki, bądź też odczuwać je, czasem namacalnie, częściej intuicyjnie, aż po marzec roku 1923-go, kiedy ostatecznie już zamknęły się dzieje sprawy „Wschodniej Galicji“, jako sprawy międzynarodowej.

Sąd mój o zachodnio-ukraińskiej dyplomacji wypadł mniej surowo, niż sąd Dr. Kuczabskiego. Epilog sprawy wschodnio-galicyjskiej ma przyczyny swoje znacznie — mojem zdaniem — głębsze, niż poczynania dyplomatów Zachodnio-Ukraińskiej Republiki. Katastrofa Zachodniej Ukrainy wynikła bynajmniej nie z niezręczności jej dyplomatów; wynikła ona z organicznej, nieuleczalnej choroby politycznego organizmu, którego dyplomaci mieli być rzecznikami.

Katastrofa sprawy ukraińskiej w okresie 1918 — 1919 wynikła stąd, że w okresie tym ani nad Dnieprem, ani nad

Dniestrem nie było ludzi, którzy byliby sobie jasno uświadomili postulaty ukraińskiej racji stanu, i którzy, uświadomiwszy ją sobie, mieliby odwagę z żelazną konsekwencją, z podeptaniem książkowej logiki i popularnego frazesu, życiowo, praktycznie do nich się dostosować.

Racja stanu ukraińska, podobnie, jak racja stanu każdego innego państwa czy narodu, nie jest jakąś wielkością nieznaną, nie jest też czemś zmiennem, zależnie od woli lub uczuć każdorazowych kierowników narodowej czy państwowej polityki.

Racji stanu nie można wymyślić, trzeba ją poznać, wyczuć i określić. Astronom nie może wytknąć gwiazdom dróg ich biegu, może tylko drogi te poznać, wymierzyć i obliczyć.

Racja stanu wynika z położenia narodu lub państwa i jako taka jest — o ile wyrażenia tego w stosunku do rzeczy ludzkich użyć można — wieczna i niezmienna.

Jedynem źródłem, wprowadzającem tu czynnik płynności (bardzo względnej zresztą), jest bieg historji, sprawiający, że stosunek własnego narodu lub państwa do sił postronnych narodów lub państw ulega przesunięciom w jedną lub drugą stronę. Im starszy jest jakiś naród, im dłuższe jego dzieje, im głębsza jego kultura polityczna, tem mniej dyskusji nad tem, czego wymaga jego racja stanu i już zupełny jej brak, o ile chodzi o samą jej istotę. Prawa racji stanu dadzą się porównać do prawideł matematyki, niema tu miejsca na dowolność i fantazję. Wszelka polityka, zgodna z temi prawidłami i zdająca sobie jasno sprawę ze stosunku sił własnych i międzynarodowych partnerów, jest polityką dobrą i musi przynieść dodatnie wyniki, choćby ludzie, prowadzący ją, popełniali — co jest przecież nieuniknionem — błędy taktyczne. Wszelka polityka, nielicząca się trwale z temi podstawowemi założeniami, musi doprowadzić do katastrofy, choćby była prowadzona przez bardzo zręcznych taktyków i mogła się poszczycić chwilowymi, bardzo błyszczącymi sukcesami.

Twierdzenie to można najlepiej sobie uprzytomnić na przykładzie Bismarcka. Racja stanu niemieckiego narodu wymagała zjednoczenia Niemiec w jedno państwo, racja stanu Prus wymagała, by zjednoczenie to dokonane zostało przez Prusy i pod ich przewodnictwem; to ostatnie nie sprzeciwiało się wymaganiom racji stanu niemieckiej, bo hegemonja Austrji w Niemczech poddawała te ostatnie w zależność od interesów Austrji, które w większości wypadków nie pokrywały się z interesami narodu niemieckiego. Racja stanu niemiecka wymagała zatem, by zjednoczenie Niemiec dokonane zostało przez Prusy i z wyeliminowaniem wpływów Austrji na sprawy niemieckie. Wojna prusko-austrjacka z roku 1866-go była tedy usprawiedliwiona (nie znaczy to, bym miał tutaj usprawiedliwiać samą zasadę rozwiązywania międzynarodowych trudności drogą wojny) i narodową niemiecką i państwową pruską racją stanu. Wojna ta w wyniku swoim doprowadziła do zupełnego militarnego rozgromienia Austrji. Szowiniści pruscy poczęli gwałtownie domagać się oderwania pogranicznych terytorjów austrjackich celem wcielenia ich do Prus, nacjonaliści niemieccy, pierwsi wynalazcy haseł patrjotyzmu językowego, uważali za całkiem naturalne, że wykluczona z Niemiec Austrja utraci na rzecz Niemiec swoje niemieckie terytorja, niezbędne dla stworzenia „jednolitych“ Niemiec. Urzeczywistnieniu tych pięknych planów stanęło na przeszkodzie żelazne veto Bismarcka. Rozumiał kierownik polityki pruskiej, że jednoczące się Niemcy przejść muszą jeszcze przez bardzo ciężką rozprawę z Francją, że zatem nie mogą pracować nad tem, by Austrja przy najbliższej sposobności rzuciła się na nie z tyłu, że więc musi się szanować terytorjalną integralność Austrji.

Pozostawienie niemieckich prowincji przy Austrji przynosiło w wyniku jeszcze większe, niż ta, korzyści. Austrja pobita traciła i tak wpływy w Niemczech, o to głównie chodziło. Austrja zaś, okrojona o niemieckie prowincje, byłaby mściwością swoją zaabsorbowała i zneutralizowała

ogromny odsetek sił niemieckich na wypadek nieuniknionego konfliktu z Francją. Austrja, wyłączona z Niemiec, lecz zatrzymująca prowincje niemieckie, wpadała automatycznie w sferę niemieckich wpływów i do wszelkich poczynań niemieckich musiała się odnosić conajmniej neutralnie. Układając traktat w Nikolsburgu, kierował się Bismarck nie pryncypjalną, nacjonalistyczno-filologiczną logiką, nie nienawistnymi uczuciami brandeburskiego junkra i wasala Hohenzollernów do Habsburgów, lecz jasno zrozumianą i wyczutą niemiecką racją stanu. Jakżeż inaczej być miało w niespełna pięć lat później przy układaniu warunków traktatu we Frankfurcie! Zwycięska Rzesza oderwała od pokonanej Francji Alzację i Lotaryngję. Dla uzasadnienia zaboru przytoczyli wojskowi najcięższe racje strategiczne, profesorowie wylali rzekę atramentu, spisując dowody z dziedziny historycznej i etnograficznej, że chodzi tu o „rdzennie niemieckie" dzielnice. Później, przez pół wieku blisko udowadniali Niemcy, że mieli słuszność, anektując Alzację i Lotaryngję, udowadniali z takim zapałem i maestrją, że w końcu przekonali... samych siebie! Jeden Bismarck rozumiał chwilami, że zagadnienie alzackie należało rozpatrywać w zupełnie innej płaszczyźnie, nie w płaszczyźnie s ł u s z n o ś c i niemieckiej, czy praw niemieckich, lecz w płaszczyźnie n i e m i e c k i e g o i n t e r e s u. A interes Niemiec wymagał takiego z pobitą Francją pokoju, by wykluczał na przyszłość rewanżowe dążności w pokonanej Francji. Niemcy miały prawo do zjednoczenia, prawo tak jasne i wymowne, że pokonana Francja byłaby się z niem pogodziła szczerze, tak, jak się z niem pogodziła pokonana Austrja. Ze zjednoczonemi Niemcami mogła się była pogodzić Francja pokonana, wszak pogodziła się pół wieku potem Francja zwycięska, nie mogła się jednak pogodzić Francja okaleczona. Zabór Alzacji i Lotaryngji nie dawał Niemcom terytorjalnego zjednoczenia, dawał im całkiem co innego, a mianowicie pewność, że w najbliższej wojnie z kimkolwiek będą fatalnie mieć Fran-

cję przeciwko sobie. To rozumiał stary Bismarck i to zatruło mu ostatnie lata życia, choć z niezmordowaną sofistyką próbował wmówić w siebie i w potomność, że zabór Alzacji i Lotaryngji potrzebny był Niemcom dla zabezpieczenia zachodniej granicy, zabezpieczenia, polegającego na ustawieniu wzdłuż tej granicy kilkumiljonowej, wrogiej, a najdzielniejszej w świecie armji!!! Sofisterja nie pomogła; żelaznego twórcę niemieckiej jedności ogarnął „Koszmar Koalicji" i psychozą swą zaraził cały naród; nieliczenie się z wymaganiami niemieckiej racji stanu przy układaniu warunków pokoju we Frankfurcie, zwichnęło całą politykę niemiecką, stworzyło Rzeszy pozycję nie do utrzymania na dalszą metę i sprowadziło wreszcie na naród najstraszniejszą katastrofę. Bismarck próbował jeszcze, jak sam powiada, „żonglować", ale żonglerstwem nie prowadzi się polityki; żongler a dyplomata, to bynajmniej nie to samo.

Przypatrzmy się polityce pokonanej Francji nazajutrz po rozgromie. Trudno sobie wyobrazić straszniejsze położenie; wszystkie wojska rozbite, nieprzyjaciel na przedmieściach stolicy, w Paryżu komuna, a w ręku wroga, jako jeniec lub zakładnik, jutro może jako narzędzie, świeżo przez rewolucję obalony monarcha. Przychodziło płacić Francji krwawo za błędy, popełnione przez ideologję Napoleona III-go, za wojnę, podjętą o kilka lat zapóźno, a mimo to lekkomyślnie, w chwili, wybranej przez przeciwnika. Ale stało się; nie było wojsk, nie było cesarza, nie było, rzec można, rządu, ale była wciąż jeszcze Francja, był genjusz rasy, była francuska racja stanu. Stary Thiers nie wahał się, zrozumiał, że rezygnacja z Alzacji i Lotaryngji była w danej chwili konieczną i wielkość jego i zasługa polega na tem, że wziął na siebie odpowiedzialność. Konieczność ofiary zrozumiała też ludność poświęconej prowincji, nie przyszło jej nawet na myśl, że można dla Alzacji i Lotaryngji narazić na szwank byt Francji; nie żądano od matki-ojczyzny przeciągania beznadziejnej wojny, która sa-

me tylko dalsze klęski mogła na nią sprowadzić. Nigdy może w ciągu tysiącletnich dziejów polityka Francji nie była bardziej mądra, bardziej godna wielkiej francuskiej tradycji, bardziej konstruktywna, jak w tych strasznych dniach 1871 roku. Wielki, historyczny naród rozumiał, że popełnione błędy trzeba umieć z godnością zapłacić i że nie wolno zaprzepaszczać bytu ojczyzny nawet dla takich haseł, jak nienaruszalność granic. Polityka francuska po przegranej wojnie była w założeniu swem słuszna, polityka niemiecka po zwycięstwie była w założeniu swem błędna i zwichnęła na kilkadziesiąt lat politykę Rzeszy niemieckiej. Upiór francuskiego odwetu doprowadził Niemców do masowego obłąkania, do nieustannych zbrojeń, do koszmaru Koalicji, do chwycenia się najgorszej, jaką sobie wogóle można wyobrazić, polityki pogróżek i prowokacji; a gdy nie stało Bismarcka, który z fatalnej sytuacji, w jaką się dał traktatem frankfurckim wprowadzić, był już do końca życia tylko żonglerem, przyszła chwila, że nerwy niemieckie nie wytrzymały, że oszalały ze strachu najpotężniejszy naród świata rozpalił samobójczo wojnę powszechną, a wśród przeciwników Niemiec musiała się automatycznie znaleźć Francja.

Jeżeli rozpisałem się tyle o szkodach i błędach polityki bismarkowskiej, to nie była to bynajmniej rozwlekła, a z tematem w żadnym nie pozostająca związku dygresja. Zupełność swojej klęski w okresie 1918 — 1919 naród ukraiński przypisać musi bynajmniej nie błędom lub nieudolności swych ówczesnych dyplomatycznych przedstawicieli. Przyczyny klęski leżą znacznie głębiej, leżą w samemże fałszywem założeniu ówczesnej ukraińskiej polityki. Polska w okresie 1914 — 1919 r. powstała i utrwaliła się, chociaż nikt właściwie nie chciał jej wskrzeszenia, boć ani Rosja, ani Prusy, ani nawet Austrja. Sprawa polska już od roku 1916 narzuciła się jako konieczność i to bynajmniej nie pokonanej Rosji, lecz właśnie zwycięskim chwilowo mocarstwom centralnym, a konieczność ta

nie zmieniła się, jakkolwiek zmienną wojny koleją mocarstwa centralne we dwa lata później pokonane zostały.

Nie powstało natomiast w okresie 1918 — 1920 r. państwo ukraińskie, choć właściwie wszyscy chcieli ukraińskie państwo tworzyć: w roku 1918 Niemcy, a w roku 1920 śmiertelna Niemców nieprzyjaciółka — Polska. Przyczyna tego zdumiewającego zjawiska leży w tem, że miarodajne koła ukraińskie w krytycznym okresie kierowały się nadewszystko uczuciami i hasłami, nie zaś wymaganiami własnej racji stanu. Nie było wśród ukraińskich polityków ani Bismarcka, ani Thiersa, nie było nikogo, ktoby rozumiał logikę sytuacji, ktoby rozumiał, że rację stanu można tylko poznać i dostosować się do jej wymagań, nie można zaś jej sobie dowolnie naginać dla pogodzenia jej z hasłami przemijającej chwili, czy to z hasłem samostanowienia narodów, czy z hasłami filologicznego nacjonalizmu.

W okresie 1918 — 1919 ukraińska racja stanu wymagała przedewszystkiem stworzenia państwa i utrwalenia jego bytu. To wymagało z żelazną logiką usunięcia z terenów ukraińskich sił rosyjskich, wszystko jedno, czy białych, czy czerwonych i zatrzymania ich na jakiejś linji, możliwie oddalonej od centrum kraju. Jeżeli tak było, to walka Ukraińców z Polakami nad Dniestrem była równoznaczna z wbijaniem noża w plecy Ukrainy naddnieprzańskiej. Tem tylko, a niczem innem!

Ale sprawa „Wschodniej Galicji"? Nie było sprawy „Wschodniej Galicji", była tylko sprawa zachodnich granic Ukrainy, sprawa granic ukraińsko-polskich. Ta sprawa nie leżała w kompetencji mieszkańców Naddniestrza tak, jak sprawa granic niemiecko-francuskich nie leżała w kompe-

tencji mieszkańców Alzacji i Lotaryngji. Sprawa granic niemiecko-francuskich mogła być załatwiona tylko między Berlinem a Paryżem, sprawa granic polsko-ukraińskich tylko między Warszawą a Kijowem. Lecz, aby Kijów mógł się z Warszawą rozgraniczać, t r z e b a b y ł o m i e ć s t w o r z o n e i o k r z e p ł e p a ń s t w o u k r a i ń s k i e, trzeba było najpierw mieć jądro, a potem mówić o peryferjach, a wtedy, dopiero wtedy, byłby dla sterników ukraińskiej polityki przyszedł moment zastanowienia się, co jest dla Ukrainy lepiej, czy dążyć do wytykania granic Ukrainy w ścisłej, stuprocentowej zgodności z wymaganiami filologicznego nacjonalizmu, czy może raczej — podobnie, jak Bismarck w Nikolsburgu rozstrzygnął na rzecz dobrowolnego pozostawienia przy Austrji jej niemieckich obszarów i z tą samą myślą — pozostawić terytorja ludności mieszanej przy Polsce, by pełniły wewnątrz polskich granic państwowych tę samą dla Ukrainy służbę, jaką wewnątrz państwowych granic austrjackich pełniły dla Niemiec prowincje niemieckie. Lecz stało się, historja wyciągnęła nieubłagane konsekwencje z założeń ukraińskiej polityki w okresie 1918 — 1919, z założeń, których błędów nie mogła zaiste naprostować taktyczna zręczność ukraińskich dyplomatów i agentów zagranicznych. Ukraińska literatura polityczna pragnie teraz dzieje klęsk i zawodów badać i szukać w nich zbawiennej na przyszłość nauki. I dobrze, że tak jest.

Narody bowiem nie giną, choćby po tak zupełnych klęskach, jak te, które poniósł naród ukraiński w okresie 1918 — 1919 r. Ukraiński naród zatem żyje, a obowiązki jego wobec samego siebie nie zmieniły się. Obowiązki te zaś dadzą się sformułować, jak następuje: „P r z e t r w a ć i p r a c ą w ł a s n ą z d o b y ć s o b i e i f a k t y c z n i e i f o r m a l n i e l e p s z ą p r z y s z ł o ś ć". Są narody, których cały wysiłek obliczony jest jedynie na przetrwanie, narody takie zamykają się w ghetto, starają się nikogo do wnętrza tego ghetta nie wpuścić, ale i same

się poza jego obręb nie wychylają, bojąc się, by kontakt ze światem zewnętrznym nie doprowadził ich do rozpłynięcia się w otaczającem je środowisku, a więc do zaniku. W ghetto mogą narody przetrwać nieraz stulecia, nie tracąc nic ze swych właściwości, ghetto chroni i to bardzo skutecznie. Chroni, to prawda, ale i mumifikuje. Naród, który się zamknął w ghetto, nie traci wprawdzie nic ze swych cech narodowych, nie amalgamuje się pod wpływem otoczenia, ale też i nie nabiera cech nowych w związku ze zmieniającemi się warunkami życia, ani nie może modyfikująco wpływać na otoczenie. Ziarna pszenicy, przechowane w egipskich grobach królewskich, nie straciły przez tysiące lat swej postaci, ale też i żadnego plonu nie przyniosły i niezdolne są do kiełkowania.

Decyzja, czy naród po klęsce winien się zamknąć w ghetto, czy też pozostać czynnym, ale wtedy i odpowiedzialnym organizmem współczesnego sobie życia, należy oczywiście tylko do zainteresowanego narodu. Naród, zamykający się w ghetto, jest w stosunku do państwa „zaborczego" zazwyczaj lojalny i niema z punktu widzenia narodu panującego powodu do burzenia murów tego ghetta. Z naszego, egoistycznego polskiego punktu widzenia, nie powinniśmy tedy mieć zastrzeżeń, gdyby decyzja narodu ukraińskiego — jak tem grożą czasami niektórzy ukraińscy politycy — poszła po linji zamknięcia się w ghetto. Musielibyśmy, a nie przyszłoby to nam trudno, pogodzić się z faktem, że za utrzymanie i prowadzenie państwa my sami tylko jesteśmy odpowiedzialni, a fakt ten dawałby nam etyczne usprawiedliwienie zatrzymania sobie wyłącznego wpływu na bieg spraw państwowych, oczywiście z poszanowaniem ghetta.

Być może jednak, że Ukraińcy nie uważają „trwania" jako jedynie w obecnych warunkach osiągalny cel, że uważają, iż istnieją możliwości sprowadzenia własnym wysiłkiem zmian w ich obecnem położeniu i to zmian korzystnych, że jednem słowem — nie mogą się zmumifikować

w ghetto, gdyż muszą zachować i powiększyć swoją zdolność działania i siły na przyszłość, że w stosunku do własnego narodu i tej części Europy, jaką zamieszkują, mają do spełnienia jakieś obowiązki, jakąś misję dziejową. W takim razie nie mogą zamykać się w ghetto, bo w ghetto mogą się zamykać tylko narody, oczekujące Mesjasza, pomocy nadprzyrodzonej, cudu. Narody zaś, które własnym wysiłkiem chcą wykuwać swą przyszłość, nie mogą się odosabniać, nie mogą odgradzać się od kontaktu ze światem zewnętrznym, owszem, muszą go szukać, a jeżeli przygotowane być muszą, że w kontakcie tym z innymi narodami nieraz ulegną ich wpływom, to nawzajem liczyć mogą, że i one nieraz aktywnie i namacalnie na dzieje tych narodów, na ich politykę i poglądy wpłyną. Decyzja zamknięcia się w ghetto jest decyzją rozpaczy i abdykacji, decyzja pozostania w świecie współczesnym, jako jego współodpowiedzialny, ale i współtwórczy czynnik składowy, dowodzi wiary we własne siły i wiary we własną przyszłość.

Jeżeli jednak decyzja ukraińskiego narodu — mówię o tym odłamie, który żyje w naszych granicach, a w szczególności na Rusi Czerwonej — pójdzie w kierunku pracy twórczej, to podstawowym warunkiem osiągnięcia dodatnich tej pracy wyników jest uświadomienie sobie wymagań swej racji stanu, a następnie dostosowanie swego postępowania do tych wymagań, bez względu na to, czy naruszy się przez to jakąś sympatyczną lub popularną doktrynę.

Naród żywy i żywotny nigdy nie ponosi ostatecznej klęski; żadna przegrana nie zamyka księgi jego dziejów. Widać to najlepiej na przy-

toczonym powyżej przykładzie francuskim. Ostatnie lata panowania Napoleona III-go pełne były błędów, polegających na tem, że koronowanemu ideologowi wydawało się, iż może dla własnych koncepcji odchylić się od nakazów wiekami uświęconej francuskiej racji stanu. Francuska racja stanu wymagała nie dopuścić do tego, by Niemcy zjednoczyły się pod hegemonją silnego militarnie państwa, które miałoby interesy także i nad Renem. Zapatrzony w swoją koncepcję państw narodowych (koncepcję, która poprzedziła o lat kilkadziesiąt hasło „samostanowienia narodów"), przyglądał się Napoleon III bezczynnie wyeliminowaniu Austrji z Rzeszy niemieckiej, nie zorjentował się w porę, że na polach Sadowy główną klęskę poniosła nieobecna Francja. Fałszywe założenie w polityce zawsze się zemścić musi, to też i Francji krwawo przyszło w lat parę zapłacić za prowadzenie polityki pod filologicznym kątem widzenia. Z pod Sadowy pomaszerowała armja pruska pod Paryż. Dopiero po klęsce, dzięki klęsce właśnie, odrodził się polityczny genjusz narodu; Francja poniosła z godnością nieuniknione ofiary. Hasłem dnia stało się wypełnienie bolesnego traktatu, hasłem dnia stało się „nie mówić o utraconych prowincjach", co nie znaczyło bynajmniej, żeby Francja miała o nich zapomnieć; i po kilkudziesięciu latach traktat wersalski przywrócił Francji nietylko wydarte prowincje, ale i pierwsze miejsce wśród potęg europejskiego kontynentu. Nie byłoby do tego przyszło, gdyby Francja była prowadziła swą zagraniczną politykę pod kątem widzenia filologicznym, ani gdyby ją była chciała wbrew logice rzeczy dostosować do usprawiedliwionych uczuć francuskiego odłamu mieszkańców Alzacji i Lotaryngji. Trzeba tym ostatnim oddać sprawiedliwość, że nigdy nie wymagali od Francji, by politykę swoją prowadziła jedynie pod kątem „kwestji alzacko-lotaryńskiej". Naród ukraiński zapłacił w okresie r. 1918 — 1919 utratą — na czas, nie dający się określić — możliwości zdobycia własnego państwa za

to, że polityka jego nastawiła się wyłącznie pod kątem widzenia filologicznym, że „kwestja wschodniogalicyjska“ zaciążyła fatalnie i zgubnie nad jego poczynaniami.

Przyszłość ukraińskiego narodu zależy dziś od tego, czy i kiedy otrząśnie się z zaczadzenia tem, co nazwałem filologją w polityce, czy i kiedy postępowanie swoje dostosuje do wymagań swej własnej ukraińskiej racji stanu. Dostosować się do wymagań swej racji stanu jest obowiązkiem każdego narodu, który nie chce zginąć; na ten wysiłek zdobyć się musi sam i bez niczyjej pomocy, zdobyć się musi wbrew wszystkim i wszystkiemu i w jakichkolwiek, choćby najgorszych, warunkach. Nikt obcy, choćby najprzyjaźniej usposobiony, nie może żadnemu narodowi tego wysiłku oszczędzić tak, jak nikt nie może za kogoś drugiego oddychać lub odżywiać się. Jedyną usługą, jaką polscy przyjaciele mogą Ukraińcom tu oddać, to uprzytomnić im tę życiową prawdę.

W pracy mojej, wydanej pod sam koniec 1931 r., p. t. „O konstruktywną politykę na Rusi Czerwonej“ (Warszawa, nakł. księgarni F. Hoesicka), próbowałem ująć w tezy przykazania ukraińskiej racji stanu tak, jak wypływają one z obecnego położenia narodu, a w szczególności położenia i misji dziejowej czerwonoruskiego, halickiego jego odłamu (str. 42—44 przytoczonej pracy). W ogłoszonych na łamach „Naszej Przyszłości“ (Warszawa, luty 1932) fragmentach mojej korespondencji z pewnym wybitnym ukraińskim działaczem starałem się wskazać, jak i dlaczego w tych czasach, kiedy danem mi było mieć praktyczną styczność ze „sprawą Wschodniej Galicji“, kierowniczy mężowie ukraińscy nie umieli dostosować swego postępowania do wymagań ukraińskiej racji stanu.

Obie publikacje moje zostały przez niekomunistyczny polityczny świat ukraiński w dzielnicy halickiej przyjęte z dużą życzliwością i choć odnośnie do pewnych moich twierdzeń lub informacyj podnosiły się tu i ówdzie — być

może, że uzasadnione — zastrzeżenia, to jednak wydaje' się, że cały szereg poszczególnych, poważnych w społeczeństwie ukraińskiem osobistości, jakoteż prasa ukraińska, nie są skłonne do polemizowania zasadniczo z formułowaną przezemnie koncepcją ukraińskiej racji stanu.

W poglądach moich wychodziłem, jak wiadomo, z następujących założeń: 1) że mimo poniesione klęski, dzieje narodu ukraińskiego nie są bynajmniej zamknięte, 2) że istnieją możliwości dla Ukraińców dokonania w obecnych warunkach doniosłej, konstruktywnej pracy dla przyszłości swego narodu, 3) że Ukraińcy, nie pozostający pod panowaniem sowieckiem, a w szczególności Ukraińcy haliccy, mają w stosunku do swego narodu szczególnie ważną misję i szczególną odpowiedzialność za wypełnienie jej ponoszą, 4) że możliwość spełnienia tej misji zawisłą jest w olbrzymiej, rozstrzymającej mierze od stosunku Ukraińców halickich do Polski i nawzajem od stosunku Polski do nich, 5) wreszcie, że kategorycznym imperatywem ukraińskiej racji stanu jest tak ułożyć swój stosunek do Polski, by ułatwić sobie wypełnienie swej misji dziejowej, oraz odpowiednio zręcznem postępowaniem przekonać opinję polską, że życzliwem ustosunkowaniem się do rozwoju tego odłamu Ukraińców, który żyje w jej granicah, służy najlepiej własnym interesom.

Zadanie, które Ukraińcy haliccy rozwiązać muszą, jest zatem — mówiąc praktycznie — dwojakiej natury: 1) w łonie własnej społeczności muszą przeprowadzić daleko w głąb sięgającą propagandę zrozumienia własnej racji stanu, 2) w łonie społeczeństwa polskiego muszą przeprowadzić równie daleko w głąb sięgającą propagandę równoległości swej własnej racji stanu z polską. O ile chodzi o propagandę zrozumienia ukraińskiej racji stanu w łonie samego społeczeństwa ukraińskiego, to w ciągu ostatnich miesięcy postęp jest widoczny. Literatura polityczna ukraińska poświęcona jest w wielkiej mierze konstatacji i krytyce od-

chyleń praktycznego postępowania politycznie odpowiedzialnych jednostek od linji, wytkniętych przez ukraińską rację stanu i precyzowaniu szkód, jakie z tego rodzaju odchyleń wyniknęły. O ile chodzi zatem o okres miniony (nawet miniony bardzo niedawno), to zrobiono bardzo dużo, uświadomiono sobie w wielkiej mierze przyczyny klęski. Obecnie toczy się jakoby przed ukraińską opinją publiczną i ukraińskiem narodowem sumieniem proces, mający na celu ustalenie odpowiedzialności za popełnione błędy. Zbliżamy się tedy prawdopodobnie do końca pierwszego, koniecznego etapu rozwoju politycznej myśli ukraińskiej na terenie Rusi Czerwonej.

Pożądanem jednak byłoby, by po przekroczeniu tego pierwszego etapu, przyszedł drugi. Dla narodu nie wystarczy uświadomić sobie to, czego w przeszłości czynić nie należało; naród musi uświadomić sobie także to, co w teraźniejszości i w przyszłości czynić należy, co należy czynić i jak należy czynić, uświadomić sobie cel do osiągnięcia i metody, mające osiągnięcie tego celu zapewnić; wreszcie musi naród w osobach tych, którzy za losy jego i przyszłość chcą być odpowiedzialni, przystąpić do czynu, do osiągania pozytywnych efektów obranemi przez siebie, za skuteczne i zgodne z narodową racją stanu uznanemi metodami. Przed przekroczeniem progów tej drugiej fazy rozwoju społeczeństwo ukraińskie i jego kierowniczy mężowie wydają się jakby odczuwać lęk (z a w y j ą t k i e m, o k t ó r y m p o n i ż e j b ę d z i e m o w a). Lęk taki i rozterka wewnętrzna są zrozumiałe; nie zrywa się łatwo z przyzwyczajeniami i poglądami pokoleń, nie zrywa się łatwo z własną swoją osobistą przeszłością. Decyzję, czy i w jakiej mierze i w jakim kierunku należy przeorjentować dotychczasową polityką ukraińską na terenie Rusi Halickiej, muszą odpowiedzialni mężowie ukraińscy powziąć sami na własną odpowiedzialność i po rozwadze we własnem sumieniu. My, t. j. polska strona, nie mamy ani prawa, ani możności, wreszcie nawet interesu wpływać na ten we-

wnętrzny proces ukraińskiej myśli politycznej, a możemy tylko precyzować jawnie naszą własną rację stanu tak. jak ją pojmujemy i pozostawić stronie ukraińskiej rozważenie, czy w nakreślonych w ten sposób przez nas ramach znajdzie możność pracowania zgodnie z wymaganiami własnej racji stanu?

Niemniej przeto jestem głęboko przekonany, że ukraińska myśl polityczna nie będzie mogła już długo zatrzymywać się trwożliwie u progu drugiej, nieuniknionej fazy swego rozwoju, jeżeli pragnie uniknąć bądź to zamknięcia własnego narodu w ghetto, bądź też trzymania się i na przyszłość kurczowo tych samych fałszywych założeń i wynikających z nich fatalnie błędów, które w swej świeżej przeszłości poznała i potępiła. Nie dosyć na tem — istnieje logika rzeczy, istnieją żelazne wymagania sytuacji, silniejsze od woli ludzkiej, Rozwój historji zmusi opinję ukraińską do wypowiedzenia się pozytywnie i konkretnie dlatego, że zaniechanie tego musi odbijać się fatalnie na położeniu narodu, wypychając i naród i jego przywódców poza krąg narodów europejskich. To, co napisałem powyżej, to nie pusty frazes i każdy patrjota ukraiński może sprawdzić nieubłagane działanie sformułowanego przezemnie prawidła na znanych mu dobrze przykładach.

W cytowanym już powyżej lutowym numerze „Naszej Przyszłości“ z b. r. przytoczyłem, obok innych, dwa punkty historyczne z okresu, kiedy miałem możność praktycznego i odpowiedzialnego zajmowania się sprawą ukraińską na terenie Rusi Halickiej. Mam tu na myśli próby, do których skłoniłem ówczesne rządy polskie: najpierw załatwienie „sprawy Wschodniej Galicji“ drogą porozumienia z emigracyjnym rządem Republiki Zachodnio-Ukraińskiej, potem zaś do położenie kamienia węgielnego pod wyższą uczelnię ukraińską, która miała nosić imię króla Daniela Halickiego. W jednym i w drugim wypadku te osobistości ukraińskie, którym losy dały w rękę decydować za ogół

ukraiński, udaremniły moją inicjatywę, ale dziś wiadomem jest powszechnie, jak i w czyjej służbie obie te osobistości skończyły. Rozwój dziejów ma swoją logikę, z którą nie można igrać bezkarnie... Rozumiem doskonale rozterkę ukraińskiego patrjoty w obliczu decyzji, do której pcha go nieubłagana logika rzeczy; rozterka ta płynie z obawy, że powzięcie tej decyzji jest równoznaczne z zerwaniem z najświętszym ideałem narodowym, jest równoznaczne ze skurczeniem ojczyzny. Dotykam tutaj bardzo drażliwej kwestji „soborności“ (zjednoczenia) Ukrainy. Nie znaczy to jednak, że ponieważ kwestja jest drażliwa, należy jej unikać. Powiem więc, że rozumiem doskonale, iż ideałem każdego patrjoty jakiegokolwiek narodu jest posiadać państwo, w którego obrębie mógłby żyć cały jego naród. Przypomnę też łaskawemu czytelnikowi pogląd mój na polityczną celowość zbyt daleko posuniętej tendencji do wcielania tego ideału w życie; cytowane powyżej historyczne przykłady polityki bismarkowskiej przy układaniu traktatów w Nikolsburgu i we Frankfurcie wydają się być dosyć wymowne. Myślę więc, że patrjota ukraiński bez zdrady swego ideału może pozostawić sprawę granic polsko-ukraińskich do rozstrzygnięcia niepodległej, narodowej Ukrainie w porozumieniu z Rosją i że irrydentystyczna w stosunku do Polski polityka nie byłaby równoznaczna z budowaniem zjednoczonej Ukrainy, lecz, praktycznie mówiąc, równoznaczna z przestrzeganiem Polski, aby na wypadek, gdyby ta sprawa mogła się stać sprawą polityki praktycznej, wytężyła wszelkie swe siły, by przeszkodzić powołaniu do życia państwa ukraińskiego. Zresztą, jeżeli chodzi o irrydentę, to wiem bardzo dobrze, że w chwili obecnej odpowiedzialni patrjoci ukraińscy na Rusi Czerwonej nie chcą jej uprawiać; do czegoby mogli bowiem przyłączyć oderwaną od Polski dzielnicę, jak tylko do Sowietów? Tego nie chcą stanowczo. Przejawiające się niekiedy u nich tendencje robienia Polsce trudności lub przykrości są niezgodne z ich własnem, głę-

bokiem i szczerem przeświadczeniem, że utrzymanie obecnej granicy polsko-sowieckiej leży w życiowym interesie ich własnego narodu. W życiu spotyka się często tego rodzaju rozbieżności między przekonaniami a poczynaniami; miejmy nadzieję, że w tym wypadku mamy do czynienia ze zjawiskiem nietrwałem.

Historja jest mistrzynią życia, ale nie ta, którą w XIX-ym wieku pisali uczeni niemieccy i ich naśladowcy dla udokumentowania roszczeń chwili. Tak poniewierana historja niczego nie uczy, zatruwa tylko ducha narodu i mści się śmiertelnie na jego dalszych kolejach. Mistrzynią życia mądrą i niezawodną jest historja inna, ta, którą się bada dla poznania prawd, rządzących rozwojem narodu, która daje nam poznać genezę jego genjuszu, jego zalety i niedomagania. Nie historję do wymagań chwili naginać należy, lecz wprost przeciwnie, niepokoje i namiętności chwili bieżącej badać w jasnem świetle dziejów, by móc zrozumieć, co w chwili bieżącej jest zmienne i przemijające, co zaś odpowiada trwałym wartościom ludzkości i narodu.

Jeżeli badamy dzieje Ukrainy, uwaga nasza staje przed faktem, którego zaprzeczyć nie można, a mianowicie, że choć bywały w dziejach epoki, kiedy ziemie, jakie obecny naród ukraiński uważa za swoje, były zjednoczone w obrębie jednego państwa, to *jednak nie zdarzyło się nigdy, żeby ta zjednoczona Ukraina stanowiła państwo samoistne, odrębne od innych narodowych państw.* Ukraina w chwili zjednoczenia zawsze była częścią składową jakiegoś większego państwowego organizmu. Epoki zjednoczenia miała Ukraina, jak dotąd, dwie. Była to mianowicie najpierw epoka pierwszych Rurykowiczów (jeżeli, co zdaje się można zrobić, nie będziemy przywiązywać zbytniej wagi do faktu, że olbrzymie połacie południowej Ukrainy były wtedy pod władaniem różnych kumańskich i połowieckich koczowników). Ale ta epoka pierwszych Rurykowiczów, kończąca się w roku 1125 ze

śmiercią Włodzimierza Monomacha, to właściwie jeszcze nie Ukraina, ale Praruś, z której dopiero z biegiem stuleci miała wyłonić się Ukraina obok Białej i Moskiewskiej Rusi, podobnie, jak z pierwotnej Frankonji pierwszych Karolingów wyłoniły się powoli Niemcy i Francja. Poraz drugi w dziejach zjednoczyły się ziemie ukraińskie w granicach Rzeczypospolitej Polskiej, gdy po wygaśnięciu moskiewskich Rurykowiczów królowie polscy włączyli do Rzeczypospolitej olbrzymie przestrzenie Dnieprowego lewobrzeża. Tym razem terytorjalne zjednoczenie ziem ukraińskich trwało krótko, rozdarł je... bunt Chmielnickiego, który oderwał lewobrzeżną Ukrainę od Polski, poddał ją Moskwie i odciął granicznym kordonem kijowską stolicę od olbrzymich obszarów zachodniej Ukrainy. Pod władaniem Moskwy wiodła lewobrzeżna Hetmańszczyzna jakiś czas suchotniczy żywot półpaństwa, aż wreszcie upadek Polski uwolnił moskiewskich carów od konieczności liczenia się z zamierającemi formami tej efemerycznej półpaństwowości. Od buntu Chmielnickiego, aż po dziś dzień, nie było danem Ukrainie się zjednoczyć. I rzecz szczególna, możnaby dojść do wniosku, że od epoki Chmielnickiego przynajmniej tendencje do zjednoczenia, do „soborności", jakgdyby nie dały się pogodzić z tendencjami do tworzenia ukraińskiego państwa. Chmielnicki, chcąc stworzyć bodaj niesuwerenne państwo ukraińskie, odstąpił Polsce wszystko, co było na zachód od Dniepru, w okresie zaś 1918—1919 r. tendencje do soborności i wynikłe z nich walki polsko-ukraińskie nad Dnieprem uniemożliwiły Polakom odpowiednio szybkie obsadzenie Naddnieprza i stworzenie osłony, za którą mogłaby okrzepnąć ukraińska państwowość.

To, co piszę, nie ma bynajmniej na celu udowadniania tezy, jakoby zjednoczenie Ukrainy było niemożliwością po wszystkie czasy; póki jakiś naród żyje, póty wszystkie możliwości stoją przed nim otworem. Wywody poprzedzające zmierzają jedynie do przypomnienia, że dzielnicowość

jest w dziejach ukraińskich zjawiskiem normalnem i że pod wpływem dziejów powinna była się u narodu ukraińskiego wyrobić bardzo cenna zdolność rozwijania się na podłożu zdrowego regjonalizmu, który nie przeszkadza wprawdzie jednolitości kulturalnej i etnicznej, lecz w obrębie całości wyznacza każdej dzielnicy odpowiednią rolę i misję do spełnienia.

Myślę, że Ukraińcy czerwonoruscy mają właśnie tego rodzaju misję do spełnienia, a na czem ta misja polega, starałem się obszerniej wyłożyć w ogłoszonej pracy mojej p. t. „O konstruktywną politykę na Rusi Czerwonej". Epokę podziałów (która zresztą trwa już od traktatu andruszowskiego) muszą Ukraińcy czerwonoruscy wykorzystać dla przygotowania swemu narodowi alternatywy rozwoju na wypadek załamania się bolszewickiego eksperymentu, rozwoju, opartego na zasadach kultury europejskiej i chrześcijańskiej. Zaznaczam przytem, że przez kulturę europejską i chrześcijańską rozumiem kulturę zachodnio-europejską i katolicką. Kultura „wschodnio-europejska" i „bizantyńska" skończyła się wraz z caratem, nie zostało — zdaje się — po niej nic, a kultura, pod której wpływami rozwija się obecnie Ukraina charkowska, jest kulturą „sowiecką". Jeżeli eksperyment sowiecki się nie uda, to Ukraina naddnieprzańska będzie prawdziwą Terra nullius, ziemią misyjną, na której trzeba będzie szczepić i europejskość i chrześcijaństwo, ale jedno i drugie w ich istotnej, zachodniej treści.

Do odegrania tej roli misjonarskiej wydaje się Ruś Czerwona jakgdyby od wieków wybrana przez Opatrzność. Ze wszystkich ziem ukraińskiego zasiedlenia jest Ruś Czerwona, stare królestwo halickie, jedyną ziemią zachodnio-europejską, jedyną katolicką. Ruś Czerwona, to nie jakiś strzęp, wydarty mechanicznie z większej całości, to wykrystalizowana przez historję organicznie dzielnica,

która, z bardzo małemi tylko i nieistotnemi uchyleniami, znalazła się cała w historycznych swoich granicach taka, jak nad nią władał jedyny z władców ruskich, koronowany z rąk papieża król Daniel Halicki. I w zrozumieniu właśnie tej misji dziejowej, jaką Opatrzność Rusi Czerwonej wyznaczyła, dla nawiązania do odwiecznej, lecz zawsze żywej tradycji, przekonałem w roku 1924 ówczesny rząd polski, że mająca być do życia powołana wyższa uczelnia ukraińska winna nosić imię króla Daniela Halickiego.

Przed patrjotami ukraińskimi na Rusi Czerwonej stoi dzisiaj pytanie, które sami rozstrzygnąć muszą: czy czują się spadkobiercami idei i prac Jarosława Ośmiozmysła i Daniela Halickiego, czy europejski wysiłek tych mądrych władców znajduje oddźwięk w duszach obecnego pokolenia ukraińskiego na ich starej ziemi i czy czują się na siłach rozpoczęte przez nich dzieło w zmienionych warunkach dwudziestego wieku podjąć i dalej rozwijać? Od rozstrzygnięcia tego pytania nie może współczesne pokolenie Ukraińców halickich się uchylić, bo niema tej kryjówki, gdzieby można się schronić przed nakazem historji; można tylko zagadnienie, przez historję postawione, rozstrzygnąć dobrze lub źle, na pożytek lub zgubę własną.

Jak już powiedziałem powyżej, jest obowiązkiem każdego żywotnego narodu kierować się nakazami swej własnej racji stanu, zawsze, w jakichkolwiek warunkach, choćby najprzeciwniejszych, wbrew wszystkim i wszystkiemu. Nie można nigdy od kogoś postronnego wymagać, by stworzył warunki, umożliwiające nam kierowanie się naszą własną racją stanu. To żelazne prawidło stosuje się bezapelacyjnie i do Ukraińców halickich; to też nie mogę uważać za „polityczny" punkt wyjścia spotykanych czasem po stronie ukraińskiej prób oczekiwania od Polaków, by ci dopiero stworzyli warunki, umożliwiające Ukraińcom kierowanie się nakazami ukraińskiej racji stanu.

Natomiast jest rzeczą jasną, że postawa Polaków, jako społeczeństwa i jako państwa, może czerwonoruskim Ukraińcom znakomicie ułatwić lub utrudnić realizację celów, wytkniętych przez ukraińską rację stanu. Tak jest zresztą z każdym narodem, nawet posiadającym państwową niepodległość, że chcąc nie chcąc musi się liczyć z postawą narodów, z którymi historja kazała mu się stykać. To też każdy naród, chcący prowadzić jakąś politykę, stara się wpłynąć na postawę i nastroje narodów, z którymi się stykać musi. Jest to zadanie dyplomacji. Na dyplomację musi się zdobyć każdy naród, chcący prowadzić jakąkolwiek politykę, naród pozbawiony państwowości w większej jeszcze mierze, niż naród, który ją ma. Zadanie dyplomacji narodu, nie posiadającego własnej państwowości, a więc i płynącej z państwowości mechanicznej siły, jest bodajże ważniejsze, niż zadanie umundurowanych i wyorderowanych dyplomatów oficjalnych, których pomyłki mogą od biedy być poprawione przez bagnety. Wydawaćby się mogło, że kładąc nacisk na zadania ukraińskiej dyplomacji, wybijam drzwi otwarte. Działalność bowiem różnych przedstawicieli halickich Ukraińców po różnych stolicach europejskich była zawsze raczej ożywiona i gorliwa, a ilość złożonych i wciąż jeszcze po różnych międzynarodowych instancjach składanych memorjałów, nieraz bardzo objętościowych, bynajmniej nie mała. Polski czytelnik niniejszego skłonny będzie poważnie się zadziwić, że pragnę naszych czerwonoruskich Ukraińców zachęcić do dalszych wysiłków na terenie międzynarodowym, tembardziej, że wysiłki te miały, a i wciąż jeszcze mają raczej charakter propagandy antypolskiej, niż konstruktywnej działalności, mogącej faktycznie w kierunku, przez Ukraińców pożądanym, zmienić położenie ukraińskiego narodu.

Spokój, z jakim piszę o tej dziedzinie poczynań naszych halickich współobywateli, nie musi być — sądzę — tłumaczony jako przejaw zupełnego stępienia zmysłu państwowego. Każdy naród, pozbawiony państwowego bytu,

musi przejść przez fazę „interwencjonizmu“, podobnie, jak normalne dziecko musi przejść odrę, albo ząbkowanie. W naszych porozbiorowych dziejach mieliśmy także i to bardzo długą epokę, gdzie liczyliśmy na interwencję „Napoleona“, a potem „Europy“. Tłumaczyliśmy tedy przy pomocy różnych emisarjuszy tejże „Europie“, że powinna „coś dla Polski zrobić“, z tą motywacją, że Polska, która nic dla samej siebie zrobić nie może, jest niemniej przeto niesłychanie dla „Europy“ ważnym czynnikiem. Ta epoka „interwencjonistyczna“ naszych dziejów porozbiorowych trwała bardzo długo, a z „interwencjonistycznej“ choroby wyprowadziły nasz naród nie czyjekolwiek najrozsądniejsze perswazje, lecz poprostu szereg smutnych doświadczeń, przekonywujących nas niezbicie, że wprawdzie tu i ówdzie musieliśmy dla „Europy“ wyciągać z ognia kasztany z ogromną szkodą naszych palców, lecz, że „Europie“ ani się śni zrobić dla nas to „coś“, o które prosiliśmy w nieskończonej ilości memorjałów.

Znając wyniki naszych polskich interwencjonistycznych poczynań, mogę, zdaje się, czekać spokojnie, aż nasi ukraińscy współobywatele nabiorą w zetknięciu się z życiem tego samego cennego doświadczenia, którego myśmy nabrali.

Nie przypuszczam, by zakordonowym agentom naszych halickich Ukraińców udało się wywrzeć na nas presję większą, niż przed wojną wywierali Prusacy, albo w roku 1920 bolszewicy. Ponieważ wytrzymaliśmy tamte, wytrzymamy jakoś i tę. Rzeczpospolita nie jest małem dzieckiem, by ją można było przestraszyć interwencjonistycznym kominiarzem. Osobiście, o ile chodzi o sprawy ukraińskie, boję się jedynie tylko naszych własnych błędów, jakie popełnić możemy, nigdy zaś czyjejkolwiek postronnej działalności.

Co więcej, skłonny jestem mniemać, że kontakt halickich Ukraińców z szerokim światem może tylko wyjść Rzeczypospolitej na dobre; o ile bowiem agenci ukraińscy,

działający zagranicą, są uczciwi i rozsądni, musieli się dawno przekonać, że żaden z poważnych międzynarodowych czynników o losy ukraińskiego narodu naprawdę nie dba, a z tego, że w jakimś obcym, choćby nawet brytyjskim parlamencie, jakiś poseł z partykularza zainterpeluje swój rząd z powodu rzekomych prześladowań Ukraińców, żadne korzyści dla nich wyniknąć nie mogą. Jeżeli zaś zagranicznym działaczom ukraińskim zabraknie uczciwości lub rozsądku, by się na tem poznać i swoim mocodawcom o tem donieść, to prędzej czy później społeczeństwo na zasadzie nieustannych fatalnych doświadczeń samo dojść musi do otrzeźwienia.

Kontakt halickich Ukraińców z szerokim światem uważam więc za zjawisko 1) w obecnej fazie nieuniknione, 2) w ostatecznym rezultacie dla nas korzystne, jako doskonale pedagogicznie działające.

Myślę, że byłoby w interesie i ukraińskim i polskim, gdyby Ukraińcy haliccy zechcieli swą dyplomatyczną działalnością objąć jeszcze jedną stolicę, a mianowicie... Warszawę!

Zadaniem dyplomaty jest 1) znać dobrze rząd i naród, wśród którego przyszło mu pracować, 2) zjednać w łonie tego rządu i narodu możliwie wielką ilość przyjaciół dla własnego narodu, a to przez wydobycie z racji stanu jednego i drugiego narodu możliwie wszystkich elementów wspólnych lub przynajmniej równoległych i świadomość tej wspólności i równoległości możliwie głęboko w środowisku, w którem mu działać przyszło, rozkrzewić. Społeczeństwo ukraińskie na Rusi Czerwonej nie poczyta mi chyba za przejaw nieuzasadnionego uprzedzenia, jeżeli powiem, że żaden z jego przedstawicieli na terenie warszawskim misji swej w ten sposób nie pojmował, a już w żadnym razie w ten sposób nie działał. Nie myślę, by tego rodzaju zaniedbanie Warszawy, przy tak daleko idącem uwzględnieniu Genewy, Londynu i Berlina, było usprawiedliwione z punktu widzenia ukraińskiej racji stanu. Kontakt polsko-

ukraiński jest niedostateczny. Oba społeczeństwa znają się przedewszystkiem z drukowanego słowa, co nigdy nie może dać dodatnich wyników, zwłaszcza, gdy to słowo drukowane ma aż nazbyt często charakter polemiczny. Poza tym papierowo-atramentowym kontaktem niema właściwie żadnego. Na Rusi Czerwonej istnieją obok siebie jakgdyby trzy ghetta, obok ortodoksyjno-żydowskiego, także polskie i ukraińskie, obliczone na inteligencję obu tych narodów. Z tego stanu rzeczy nic dobrego wyniknąć nie może, gdyż, jak powiedziano powyżej, ghetto wypacza i wykręca umysły w kierunku wyłącznie jednostronnego rozwoju. Filologiczny nacjonalizm, rozwijający się bez dopływu świeżego powietrza i ślepy na przejawy otaczającego życia, może dać tylko opłakane wyniki.

Konsekwencją tego stanu rzeczy jest: 1) daleko posunięta nieznajomość sposobu myślenia i zapatrywań drugiej strony, 2) zdumiewające wzajemne nieufności, 3) zakorzenienie się w jednem i drugiem społeczeństwie nieprawdopodobnej ilości szkodliwych dla obu legend, 4) wytworzenie się w jednem i drugiem społeczeństwie poglądów i programów politycznych, które nie żyłyby ani godziny, gdyby mogły być choćby przez chwilę oglądane przez przezroczystą atmosferę życia, nie zaś przez soczewkę wyhodowanych w nacjonalistycznem ghetto przesądów i uprzedzeń. Uintensywnienie racjonalnego kontaktu między obu społeczeństwami jest tedy ważne, dla strony ukraińskiej bodajże ważniejsze, niż dla polskiej; strona polska bowiem może zawsze — jako mająca w ręku władzę — oddziaływać na ukraińską w sposób mechaniczny, przez funkcjonowanie aparatu państwowego, strona zaś ukraińska, jeżeli pragnie oddziaływać na polską, ma w ręku tylko środki, które nazwałem dyplomatycznymi, jakich jej może dostarczyć tylko doskonała znajomość polskiej psychiki i polskiego pojęcia polskiej racji stanu.

W rozmowach z moimi ukraińskimi przyjaciółmi konstatowałem nieraz, że zdają sobie doskonale sprawę z nie-

dostateczności, a właściwie z braku propagandy ukraińskiej na terenie polskim, zdają sobie sprawę i z tego, że wygłaszanie z trybuny sejmowej protestów albo mówienie Polakom z tej trybuny rzeczy nieprzyjemnych, choćby nawet najprawdziwszych w świecie, nie może być uważane za ukraińską propagandę, a jeżeli, to chyba za propagandę in minus. Zdają sobie również sprawę i z tego, że taktyka interwencjonistyczna, choćby nawet tu i ówdzie Polsce zaszkodzić mogła, żadnej korzyści Ukraińcom przynieść nie może, gdyż te czynniki międzynarodowe, które tu i ówdzie skłonne są posługiwać się skargami ukraińskiemi, jako środkiem nacisku na Polskę, pragną naciskiem tym wydobyć od Polski coś dla siebie, a nie coś dla Ukraińców. Rzeszy niemieckiej np. nie chodzi wcale o to, by Ukraińcom w Polsce było dobrze, przeciwnie, zależy jej na tem, by Ukraińcom w Polsce było jak najgorzej, a przynajmniej, aby byli jak najbardziej niezadowoleni. Inaczej bowiem nie miałaby propaganda niemiecka atutów do wygrywania w swej antypolskiej grze. Jeżeli zaś tak jest (a o tem nikt chyba wątpić nie może), to jak można się rozsądnie spodziewać, że Niemcy coś pozytywnego dla halickich Ukraińców zechcą uczynić? Trudno od Niemców wymagać, by działali naprzekór oczywistym niemieckim interesom!

Jednakowoż ci sami ukraińscy działacze, którzy tak krytycznie i trzeźwo zapatrują się na różne dotąd stosowane, a nieraz bezskuteczne lub gorzej jeszcze, bo szkodliwe metody postępowania, odczuwają jakgdyby paniczny lęk przed ich zmianą, a przynajmniej przed rozciągnięciem działalności ukraińskiej propagandy i na teren warszawski. Przyczyny po temu są dwojakie: 1) legenda o przegranej wojnie polsko-ukraińskiej w roku 1918—1919, 2) niewiara, by jakakolwiek przez Ukraińców podjęta działalność mogła na umysły polskie wywrzeć jakikolwiek skutek.

Jeden i drugi z tych ujemnie działających czynników zasługuje na baczne rozpatrzenie.

Jest faktem niezaprzeczonym, że poczynania, zmie-

rzające do utworzenia państwowości ukraińskich nad Dnieprem i nad Dniestrem, zakończyły się w okresie 1918 — 1920 r. najzupełniejszem niepowodzeniem. Ukraińcy, a zwłaszcza czerwonoruscy, uważają się tedy za pokonanych, co jest słuszne, ale uważają się za pokonanych przez Polaków i zupełnie szczerze uważają, że obowiązkiem Polaków, jako zwycięzców, jest stworzyć warunki, umożliwiające Ukraińcom działalność, zgodną z ich racją stanu, o ile ta ostatnia wymaga współdziałania z Polską. Dopóki zaś to nie nastąpi, uważają się za niezwiązanych nawet postulatami swej własnej racji stanu.

Zdaje się jednak, że w takiem pojmowaniu sprawy tkwi szereg bardzo zasadniczych błędów. Przedewszystkiem trudno jest wymagać od zwycięzcy (czyli od wroga), by nam umożliwił kierowanie się naszą własną racją stanu, t. j. wzmocnienie się. Takiego obowiązku żaden zwycięzca nie ma; ma on w stosunku do zwyciężonego obowiązek kierowania się tylko swoją własną racją stanu. Ta ostatnia nie musi oczywiście wymagać zniszczenia pokonanego nieprzyjaciela. Bywały już w historji walki i wojny nieracjonalne, szkodliwe dla stron obu; w interesie obu stron leżało zatem ich zaprzestanie. Pisałem już powyżej, że nie istnieje klęska, którąby mogła zwolnić jakiś naród od obowiązku kierowania się swoją racją stanu, przeciwnie, klęska, która jest zazwyczaj wynikiem odchylenia się od linji, wytkniętych przez rację stanu, nakłada na każdy naród, u którego instynkt życiowy góruje nad interesem samobójczym, tem większy obowiązek kierowania się wytycznemi racji stanu, kierowania się niemi w stosunku do narodu zwycięskiego jeszcze bardziej, niż do jakiegokolwiek postronnego narodu, który może tylko bardzo pośredni i odległy wpływ wywrzeć na losy pokonanego. Jeżeli Ukraińcy haliccy pragną, aby Polacy, t. j. ich rzekomy zwycięzca, zmienił na ich korzyść ich warunki życiowe, to, aby cel ten osiągnąć, mają tylko jedną drogę, a tą jest przekonać stronę polską, że leży to w jej interesie. Utrzy-

mywanie Polaków w przeświadczeniu (wszystko jedno, czy słusznem), że wszelkie polepszenie warunków bytu Ukraińców na ziemi halickiej jest równoznaczne z niebezpieczeństwem dla państwa, a choćby tylko z uszczerbkiem dla miejscowego żywiołu polskiego, jest w polityce praktycznej równoznaczne z prowadzeniem przez Ukraińców intensywnej propagandy wśród Polaków, by się tego rodzaju zmian wystrzegali.

Myślę w dalszym ciągu, że możnaby, a nawet należy zakwestjonować słuszność zakorzenionej wśród halickich Ukraińców legendy, jakoby Polacy byli w okresie 1918 — 1920 r. zwycięzcami w stosunku do Ukraińców i do Ukrainy.

Przedewszystkiem, o ile chodzi o Ukrainę kijowską, to nie kto inny, jak właśnie *Polacy podjęli w roku 1920 bardzo poważny i z dużem dla siebie ryzykiem połączony wysiłek, mający na celu zbudowanie ukraińskiego państwa*. Ten wysiłek Polski był bodajże większy, niż równoległy wysiłek samychże Ukraińców w tym samym czasie. Klęskę pod Kijowem ponieśli Polacy i wynikiem tej klęski było zaprzepaszczenie na czas nieokreślony sprawy państwa ukraińskiego; zwycięstwo nasze byłoby miało wręcz odmienny skutek. To zdaje się nie ulegać dyskusji i o ile chodzi o Ukrainę kijowską, nie mamy powodu uważać się za zwycięzców. *Ukraińcy zostali wespół z nami pokonani przez bolszewików*.

Czy jest inaczej, o ile chodzi o Ruś Czerwoną? Mojem zdaniem — nie. W walkach nad Dniestrem w okresie 1918 — 1919 r. Polska nie walczyła z Ukrainą, którą w roku 1920 chciała do życia powołać, ale walczyła o swoje wschodnie granice. A los tych granic rozstrzygnął się nie w roku 1918 i 1919 pod Lwowem, lecz w roku 1920 pod Warszawą i Baranowiczami. *Gdyby Polska była przegrała bitwę warszawską, nie*

byłoby na Rusi Czerwonej żadnej zachodnio-ukraińskiej republiki, ale granice sowieckie dotarłyby do Sanu i na tem koniec. Jeżeli z walki o nasze wschodnie granice wyszliśmy zwycięsko, to zwyciężyliśmy nad bolszewikami, a nie nad Ukraińcami halickimi.

Kierownicy polityki halickich Ukraińców w okresie 1918 — 1919 r. ponoszą przed historją własnego narodu straszną odpowiedzialność za to, że zatrzymali wojska polskie nad Dniestrem tak długo, aż bolszewicy opanowali Kijów i w nim się wzmocnili. Pomoc polska w roku 1920 przyszła już zapóźno i państwa ukraińskiego skutkiem tego niema. To jest prawda, której żadna sofistyka zaprzeczyć nie może. O ile chodzi o walki nad Dniestrem w latach 1918 — 1919, to właściwymi zwycięzcami byli nieobecni tam bolszewicy, podobnie, jak właściwym pokonanym w roku 1866 pod Sadową był nieobecny tam Napoleon III. Konsekwencją bowiem walki, jaką z nami stoczyli Ukraińcy haliccy, jest fakt, że granica świata sowieckiego biegnie teraz daleko na zachód od linji Dniepru, wzdłuż Zbrucza, a mało brakowało, aby biegła wzdłuż Sanu!

Drugą legendą, jaką byli członkowie rządu zachodnio-ukraińskiej republiki starają się rozkorzenić wśród swego społeczeństwa dla odwrócenia jego uwagi od klęsk, jakie postępowaniem swem sprowadzili i na wszechukraiński naród i na jego halicki odłam, jest pogląd, jakoby mocarstwa Ententy zamierzały kiedykolwiek powołać do życia jakiekolwiek zachodnio-ukraińskie, czy wschodnio-galicyjskie państewko. Znając doskonale historję t. zw. „sprawy wschodnio-galicyjskiej", bo właśnie mnie przypadło w udziale prowadzić ją i zamknąć na rzecz Polski, stwierdzić muszę, że utworzenie państewka wschodnio-galicyjskiego nigdy, ale to nigdy nie leżało w zamia-

rach państw Ententy. Wschodnia Galicja przeznaczona była dla Rosji i dla nikogo więcej. Jeszcze na konferencji w Spaa, w lipcu 1920 r., Lloyd George domagał się oddania tej dzielnicy Rosji, choćby bolszewickiej. . . „dla zadośćuczynienia woli ludności“ — cytuję własne jego słowa. Z chwilą, gdy okazało się, że nie można liczyć na odbudowanie Rosji carskiej, sprawa Wschodniej Galicji była przesądzona automatycznie na rzecz Polski. Meritum było rozstrzygnięte już w pod jesień 1921 r., pozostawała jeszcze tylko kwestja formy i pretekstu. Rząd zachodnio-ukraińskiej republiki wiedział o tem chyba równie dobrze, jak my; aby go o tem przekonać, wystarczała jedna poważna rozmowa z którymkolwiek z ministrów któregokolwiek z państw Ententy, zresztą i z polskiej strony nie robiono z tego tajemnicy. Ta pewność wyniku sprawy wschodnio-galicyjskiej była powodem przypomnianej przezemnie (ob. Nr. lutowy b. r. „Naszej Przyszłości“) polskiej próby porozumienia z września 1921 roku, odrzuconej z tak nieprawdopodobnych powodów przez Dr. Petruszewicza. Będąc pewną ostatecznego wyniku sprawy wschodnio-galicyjskiej, nie chciała Polska płacić zań koncesjami w innych sprawach, zależnych od Ententy (Gdańska, Śląska przedewszystkiem). Nie Polski winą jest, że emigracyjny rząd zachodnio-ukraiński zmarnował nadarzającą się sposobność, jak zresztą i tyle innych poprzednio.

Obok tych szkodliwych legend, główną przeszkodą w naprowadzeniu polityki halickich Ukraińców w stosunku do Polski na tory konstruktywne jest głęboka ich nieufność do Polaków i niewiara w wyniki własnych poczynań, coś, co Anglicy nazywają inferiority complex. Brak zaufania wzajemnego między obu narodami jest nieprawdopodobnie wielki, obciąża on zresztą w równej mierze i polską i ukraińską stronę i jest bodajże najważniejszą psychologicznej natury przeszkodą w uświadomieniu sobie daleko sięgającej wspólności interesów. Na to jest tylko jedna rada, t. j. omawiać możliwie często, możliwie szczerze i możliwie

beznamiętnie, a przedewszystkiem uczciwie, te wspólne interesy, nie ukrywając bynajmniej przed drugą stroną, że czyniąc to, poszukuje się przedewszystkiem interesu własnego, idąc po linji, wytkniętej własną racją stanu i apelując nie do altruizmu lub abnegacji, lecz do interesu i racji stanu strony przeciwnej. Nieuniknionym wynikiem takiej metody musi być po pewnym czasie głęboko sięgająca przemiana w psychice obu społeczeństw, zanik szkodliwej psychozy ghetta, polegającej na szukaniu pułapek na gładkiej drodze.

Co się tyczy niewiary halickich Ukraińców w ich własną możność oddziałania na poglądy polskie i sprowadzenia lub przyspieszenia ich ewolucji w kierunku, przez Ukraińców pożądanym, to myślę, że nie jest ona uzasadnioną. W dziejach wzajemnych stosunków polsko-ukraińskich po roku 1923 zdarzyło się tylko raz, że po stronie ukraińskiej odezwał się głos rzeczowego osądu tych stosunków i to osądu, bynajmniej nie pochlebnego dla strony polskiej. Mam tu na myśli znany list pasterski X. Biskupa Chomyszyna z 23 lutego 1931-go roku. Nikt chyba nie zaprzeczy, że obecny rząd polski mało jest skłonny do słuchania nauk i napomnień i bardzo być może, że i naród polski w stosunku do Ukraińców skłonny jest aż nazbyt często uważać się za „Herrenvolk", niemniej przeto prawdą jest, że nauk i napomnień, zawartych w liście pasterskim X. Chomyszyna, wysłuchał i rząd i naród polski z czcią i nietylko wysłuchał, lecz począł w zrozumieniu swojem rozważać i liczyć się, czy w sprawie Rusi Czerwonej nie ciążą i na nim błędy lub wprost grzechy. A ten nieprzewidziany skutek listu pasterskiego przypisać należy temu, że piszący go, obcy polityce kapłan, miał odwagę spojrzeć w oczy prawdzie, że zrozumiał i odczuł i polską i ukraińską rację stanu w jej majestatycznej prostocie, że przemówił jako Książę powszechnego Kościoła i sługa Chrystusowy tak, jak mu nakazywał obowiązek, a nie wedle skomplikowanej i bałamutnej rachuby. I dlatego to syn ukraińskiego ludu

mógł przemówić z wyżyn swego powołania do jednego z najdumniejszych narodów ziemi. Można, pokazuje się z tego, trafić do Polaków.

Konstruktywnej polityki z obu stron potrzebuje stara ziemia halicka, ziemia Jarosławów i Danielów i Sobieskich. Oba narody muszą się zdobyć na uświadomienie sobie swej racji stanu, swej misji dziejowej, swych obowiązków wobec samych siebie i światło tego poznania rozprószyć musi trujące opary uprzedzeń, nienawiści i sofisterji, a za poznaniem musi iść wola i czyn. Cel jest wspólny, a jest nim, jak już pisałem swego czasu (obacz „Droga“, lipiec 1931 r., artykuł p. t. „Galicja Wschodnia“), zapewnić obu narodom „równoległe, zgodne i niezawisłe wzajemnie od siebie współistnienie“. Urzeczywistnienie zaś tego celu rozwiązuje coś znacznie większego, niż sprawę Wschodniej Galicji, bo rozwiązuje sprawę Słowiańszczyzny, sprawę Środkowej i Wschodniej Europy.

Stanisław Łoś.
